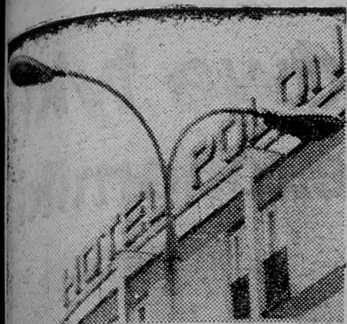




gdy gaśnie światło 4



pokazówka w gminie 5



życiorysy rewolucji 11



bezmieśne życie 12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

20
KONTAKTY
9 XI 80
Cena 4 zł



— Nie ma na świecie sprawiedliwości — mówi Marianna. — Każda zambrowka władza użynała się na nas.

Fot. Gabor Lőrinczy

reduta Szostakiewiczów

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Od głównej szosy na podwórko wiodą głębokie koleiny po żelazniaku. Szostakiewiczowie jeżdżą nim na targ, w pole. Gdy blisko południa rozlega się po Zambrowie turkot żelaznych kół po asfalcie, sąsiedzi wiedzą, że Szostakiewiczowie przymierzają się do prac polowych. Nieraz wędrują za wozem trzy krowy. Wtedy wóz toczy się powoli, a gospodarze oglądają się co chwila, czy która przypadkiem się nie urwała.

Różnie na nich patrzą zambrowianie. Jedni z podziwem, inni z uśmiechem. Każdemu, kto przejdzie

JOANNA ZIMNA

rodziłam w „Pogodę dla bogaczy”

Kiedy mąż odbywa wyprawę z osiedla Południe II po karetkę pogotowia, ja szykuję sobie niezbędne kosmetyki, dwa ręczniki i trzysta złotych. Mówili mi w pracy, że i w łomżyńskim szpitalu jest zwyczaj dodatkowego wynagradzania za tę samą pracę. Po czwartej rano, czyli po upływie godziny od wyjścia, mąż wraca karetką.

Pielęgniarka mówi: — Niech pani nie bierze, bo nie wolno.

— A szczoteczkę do zębów? — pytam.

— Nic nie wolno. Jak często ma pani bóle?

Dziwi mnie to pytanie, ponieważ przez cały czas wbiłam sobie do głowy, że powinnam odczuwać skurcze, którym ból może jedynie towarzyszyć, być ich efektem.

Wyjmuję z plastikowej torby jeden ręcznik, żeby była mniejsza. Przybysz sprowadza mnie po schodach. Taka troskliwość na pozór. Skurcze mam co 5,5 minuty, ale dużego bólu nie odczuwam. Właściwie mogłabym zostać jeszcze w domu, ale popędza mnie niepokój, że pierwszy raz, więc nigdy nic nie wiadomo.

Przed blokiem — jak zwykle — ciemno. Potykam się o porzucone płytki chodnikowe. W karetce brakuje miejsca dla męża. Od początku towarzyszy mi zimno.

— Jeszcze ktoś będzie? — w izbie przyjęć siostry wypisują kwestionariusze.

— Tak, z Jedwabnego.

Po chwili przyprowadzają drugą panią. Przechodzę do pokoju obok, w którym widzę zapuszczoną wannę i obskurne krzesła. Siostra siada na brzegu wanny i spisuje rzeczy, które mam na sobie. Dołącza pani z Jedwabnego i jedziemy windą do sali przedporodowej.

Kozetka, prysznic za zasłonką, umywalka, drzwi do toalety. Siostra mówi, żeby się rozebrać. Siedzimy nagi na kozetce. Przynosi koszule. Moja sięga mi przed kolana, pani Teresie z Jedwabnego — do pępka.

Godzina 4.30. Pani Teresa martwi się: — Miałam uszykowaną bombonierkę, ale były dwie, jedna napoczęta. Nie wiem, którą mi mąż włożył.

Pytam jej, kiedy to się daje i komu.

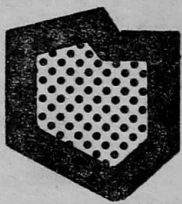
— Położnej — odpowiada — kiedy będzie sposobność.

Jak tu wyczuć sposobność? Myślę sobie, że najlepiej będzie, jeśli mąż podziękuję po wszystkim; da kwiatki, może nawet koniak z tej niecodziennej okazji — narodzin nowego człowieka.

Jestem pełna optymizmu. Znam poglądy prof. Fijałkowskiego na temat porodu oraz zapewnienia doktora Popkowskiego z mojej dawnej przychodni, że wszystko jest w porządku. Pewien niepokój wzbudziła we mnie pani doktor z przychodni

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9



STANISŁAW KANIA i Józef Pińkowski przebywali z przyjacielską, roboczą wizytą w Moskwie. Podczas rozmów Leonid Breżniew wyraził przekonanie, że komuniści, ludzie pracy bratniej Polski, potrafią sami rozwiązać ostre problemy rozwoju politycznego i gospodarczego oraz zapewnić wzrost stopy życiowej mas pracujących i dalszy wszechstronny postęp PRL.

BIURO POLITYCZNE KC PZPR oceniło, że zmiany zapowiedziane przez VI Plenum następują zbyt powoli. W trakcie obrad podkreślono, że Komisja Kontroli Partyjnej powinna szybko i bezkompromisowo rozliczyć osoby, które dokonały nadużyć gospodarczych lub wykorzystywały sprawowane funkcje dla prywatnych celów, a także zapewnić ochronę ludzi uczciwych przed pomówieniami i oszczerstwami.

PO SPOTKANIU premiera z przewodniczącym Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” poinformowano, że odwołanie od decyzji Sądu Wojewódzkiego w sprawie statutu „Solidarności” zostanie rozpatrzone przez Sąd Najwyższy do 10 listopada. Na konferencji prasowej Lech Wałęsa stwierdził, że jeśli podjęte z rządem ustalenia zostaną wprowadzone w życie, będzie to wielkim osiągnięciem.

PO DWÓCH TYGODNIACH trudnych rozmów podpisano we Wrocławiu porozumienie między Komisją Rządową a Okręgową Komisją Porozumiewawczą Kolarzy NSZZ „Solidarność”. Zawiera ono najważniejsze postulaty w zakresie reformy systemu płac kolarzy, awansów, nagród jubileuszowych i poprawy warunków pracy.

CZECHOSŁOWACKIE „RUDE PRAVO” pisząc o współczesnej polityce imperializmu stwierdza, że dąży on do osłabienia jedności sojuszu socjalistycznego i podkopania ustroju socjalistycznego w bratnich krajach. W ten sposób oceniać należy obecne wydarzenia w PRL, gdzie antysocjalistyczne siły w kontakcie z międzynarodową reakcją usiłują — pod hasłem krytyki trudności gospodarczych i błędów — naprowadzić ogień na podstawy ustroju ludowego.



EGZEKUTYWA KW PZPR wysłuchała informacji Komitetu Gminnego PZPR w Andrzejewie o problemach gminy oraz zapoznała się z wnioskami i postulatami mieszkańców dotyczącymi m.in. zaopatrzenia w środki produkcji rolnej, budowy dróg, prawidłowej gospodarki ziemią, zmian w systemie kontraktacji oraz pracy partyjnej. Egzekutywa zobowiązała wojewodę do udzielenia pomocy władzom gminnym w rozwiązywaniu tych problemów. W drugim punkcie obrad omawiano stan zdrowia dzieci i młodzieży szkolnej, polecając przeprowadzenie badań w tej dziedzinie i przedstawienie wyników na sesji WRN w II półroczu 1981.

KRONIKA KADROWA: W związku z przekształcaniem zakładu WPHW w Łomży w samodzielne przedsiębiorstwo na jego dyrektora powołano byłego sekretarza WRZZ Stefana Sutynia (lat 32). Aleksander Szozda (lat 45) został wiceprezesem Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży (poprzednio był głównym specjalistą w CZSEM). Ireneusz Skrocki na własną prośbę przestał pełnić funkcję I sekretarza KM-G PZPR w Kolnie.

DZIAŁALNOŚCI NIEZALEŻ-

Z INICJATYWY NRD wprowadzone zostały zmodyfikowane przepisy ruchu turystycznego, na podstawie których granicę między Polską a NRD będzie można przekraczać tylko na podstawie potwierdzonego oficjalnie zaproszenia.

STEFAN BRATKOWSKI w „Życiu Warszawy” stwierdza: „Są ludzie, którzy niczego nie chcą zrozumieć, i mniejsza o nich, sami się skreślą. Ale są w aparacie władzy ludzie, którzy nie potrafią zrozumieć. Wydaje się im, że TO się cofnie, ustoi albo zamarnie pod zimnym technicznym pogroźką i ostrzeżeniem. Nie uzmysławiają sobie, że to zwrot ostatniej szansy, że następnej już nie będzie; nie pojmują, że z kolei bez porozumienia ze społeczeństwem wyjście z kryzysu gospodarczego jest niemożliwe, ponieważ konfrontacja i siła nie sposób uzyskać chęci do pracy. [...] Nie dostrzegają, że w rzeczywistości całość programów zmian [...] w niczym nie wykracza poza rewolucję zdrowego rozsądku.”

PHZ „ANIMEX” sprowadza w tym kwartale z krajów zachodnich 50 tysięcy ton mięsa i 1 tysiąc ton smalcu. Z ilości tej 37 tysięcy ton jest już w kraju bądź w drodze do Polski.

W BIEŻĄCYM ROKU z krajów kapitalistycznych sprowadzimy około 7 mln ton zbóż konsumpcyjnych i paszowych oraz 1,5 mln ton pasz treściwych.

W ROZMOWIE na temat zaopatrzenia w mięso prof. Wiktor Szostak przypomina, że w roku 1977 spożywaliśmy (w przeliczeniu na statystycznego obywatela) 69 kilogramów mięsa, a i jego przetworów rocznie. Taka ilość mięsa, przy rzetelnej dystrybucji, pozwoliłaby zapewnić całkiem przyzwoite racje dla każdego. Nie ilość mięsa więc powoduje trudności rynkowe, bo nawet w porównaniu z innymi krajami nie wypadamy najgorzej, ale źle zorganizowana dystrybucja, która powoduje, że jedni — jedzą mięsa za dużo, a inni — za mało.

POGLEBIAJĄ SIĘ zaległości w budownictwie mieszkaniowym; w ciągu dziesięciu miesięcy wykonano zaledwie połowę planu rocznego i to już wcześniej skorygowanego „w dół”.

NOWYMI SEKRETARZAMI KW PZPR zostali: w Białymstoku — Stefan Zawodziński (na miejsce Władysława Juskiewicza), w Płocku — Alfred Wałek (za Kazimierza Janiaką), w Legnicy — Ryszard Romaniewicz (za Stanisława Cieślaka) i w Siedlcach — Ry-

NYCH Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność” poświęcone było spotkanie w Łomży. Jego pierwszą część — jak to określili organizatorzy — z przyczyn technicznych odbyła się w kościele. Inaugurując spotkanie ks. biskup Tadeusz Zawistowski stwierdził, że „wszędzie tam, gdzie chodzi o ochronę praw, godności i interesów pracownika jest miejsce i dla Kościoła”. Następnie Piotr Zwierchowski, działacz NSZZ „Mazowsze” z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego FSO w Warszawie przedstawił swoje doświadczenia w organizowaniu związków „Solidarność”. W drugiej części spotkania, (w Domu Rzemiosł Różnych) uczestniczyli tylko przedstawiciele zakładów i instytucji łomżyńskich, zainteresowani tworzeniem nowych związków.

DECYZJE MINISTRA Komunikacji ograniczającej o 10 proc. kursy autobusów PKS odczuwają szczególnie dotkliwie mieszkańcy woj. łomżyńskiego, gdzie praktycznie nie istnieje sieć kolejowa. Zawieszone zostały 122 kursy (na ogólną liczbę 1451). Przy podejmowaniu decyzji — jak poinformowano nas w dyrekcji PKS — obowiązywały następujące kryteria: nie należy zawieszать kursów autobusów, którymi mieszkańcy dojeżdżają do szkół i pracy oraz na trasach o jednym tylko lub dwóch połączeniach dziennie. Na trasach: Łomża—Warszawa, żadnych zmian w rozkładzie jazdy; Zambrów—Warszawa — o jeden autobus mniej; Łomża—Białystok — o dwa połączenia mniej. Z Łomży do Grajewa, Ciechanowca, Wysockiego Mazowieckiego — bez zmian. Podobnie z tych miejscowości do

szard Bryk (za Zofię Grzebisz-Nowicką).

PLENUM ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZBoWiD powołało na prezesa tej organizacji Włodzimierza Sokorskiego — współtwórcę Ludowego Wojska Polskiego, aktywnego działacza społeczno-politycznego. Gratulujemy w imieniu redakcji oraz wszystkich Czytelników jego autobiograficznej powieści, drukowanej w odcinkach na łamach „Kontaktów”.

„POLITYKA” OPUBLIKOWAŁA rozmowę z działaczami Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Gdańsku, w której Lech Wałęsa stwierdził: „Nie kwestionujemy socjalizmu ani naszych sojuszy, respektujemy realia, to jest nieuniknione. Na pewno nie wrócimy do kapitalizmu, ani nie skopujemy żadnego wzoru zachodniego, bo tu jest Polska i chcemy mieć rozwiązania polskie. Socjalizm to jest system niezły i niech będzie, ale kontrolowany. Współdziałalność związków powinna być pełniejsza. Nie będziemy wysuwać programów politycznych, a w żadnym wypadku ich realizować.”

W DYSKUSJI REDAKCYJNEJ („Literatura”) Klemens Krzyżagórski zastanawia się nad polenizmem kulturowym: „Te 2 miliardy złotych w budżecie terenowym — to jest plan. W pięciolatce 1976—1980 nie zdarzył się ani jeden taki rok, w którym terenowy plan nakładów inwestycyjnych na kulturę zostałby wykonany. Największy sukces osiągnięto w 1977 roku. Wykonano wówczas 86,1 procent planu. W 1979 roku wykonano plan w 74 procentach. Na pięciolatkę 1981—1985 zaplanowano dla terenu o 300 milionów złotych mniej niż wynosiło wykonanie w latach 1976—1980. Jeśli zostanie to utrzymane, nastąpi dalsza petryfikacja różnicowania społecznego w kulturze, pogłębi się przepaść pomiędzy subkulturami — stołeczną i prowincjonalną.”

JERZY JAROSZEWICZ podsumowując w „Tygodniku Kulturalnym” X Konkurs Chopinowski stwierdza: „Nie chodzi już w tej chwili o to, że wielu uczestników konkursu ma prawo uważać, iż zostali ewidentnie skrzywdzeni [...] Istotne jest raczej co innego, to mianowicie, że werdykt jury — które jest wprawdzie gremium złożonym z rozmaitych indywidualności, lecz na zewnątrz występuje jako rzecznik w liczbie pojedynczej — przyczyniły się do zdefiniowania zarówno przebiegu konkursu od strony merytorycznej, jak i towarzyszącej mu atmosfery.”

Łomży. Zatem większość ograniczeń dotyczy autobusów lokalnych łączących okoliczne wsie z miastami. Czy trzeba mówić, jak trudni to dojazd ludzi do urzędu, korzystanie z opieki lekarskiej, wyjazdy po zakupy?!

Rozumiemy oszczędnościowe intencje resortu. Jednakże sposób, w jaki zrealizowano w woj. łomżyńskim, uraga zdrowemu rozsądkowi, uderza głównie w mieszkańców wsi, utrudnia im, i tak bardzo trudne, życie. Czy o to chodziło? I to teraz, gdy tyle zapewniali i przyrzeczeli pomocy dla rolników.

WSRÓD 50 TYSIĘCY samotnych chorych pozostających pod opieką Polskiego Czerwonego Krzyża znajduje się duża liczba osób, które oprócz pielęgnacji potrzebują pomocy materialnej. Zarząd Główny PCK zwraca się z apelem do wszystkich, którym los samotnego chorego człowieka nie jest obojętny o wpłaty na ten cel. Można ich dokonywać na konto Zarządu Wojewódzkiego PCK w Łomży (NBP nr 4500-1720-132) z zaznaczeniem „Fundusz Pomocy PCK”.

SWA DZIAŁALNOŚĆ wznowia Dyskusyjny Klub Filmowy „To-tu” działający przy Domu Środowisk Twórczych MDK w Łomży. Podczas pierwszej projekcji, 14 listopada, zaprezentowany zostanie film „Constans” Krzysztofa Zanussiego, poruszający aktualną tematykę społeczną. Później uczestnicy klubu przeniosą się w świat Dzikiego Zachodu, bowiem cykl sześciu filmów zatytułowany „Powórka z wester-
nu”.

dwa tyki ekonomiki



klucz do spichrza

Nie rozpieszczala nas aura ostatnich czasów. Przypomnijmy tylko jak to było ze zbożem przed rokiem, jak jest z ziemiakami teraz. Rezerw jak wiadomo nie mamy. Więc „chude” lata kładą się cieniem na całej gospodarce. Trzeba dodatkowo importować zboże, mięso, po kartofle ludzie stoją w kolejkach.

Nie o klęskach chcę jednak pisać. Nie jest moim celem powodzić czy suszę usprawiedliwiać trudną sytuację rynkową. Chodzi mi tym razem o odpowiedź na jedno podstawowe — sążne — pytanie: Czego naszemu rolnictwu brakuje, gdzie tkwi klucz do narodowego spichrza? Sądzę, że w sferze produkcji — w gospodarstwie, a w sferze stosunków międzyludzkich — w samorządności.

Z przykrością trzeba stwierdzić, że wbrew oficjalnym deklaracjom z gospodarnością byliśmy zdecydowanie na bakier i są na to rozliczne dowody. Za niegospodarnością np. uważam zbyt mały, a przy tym niewłaściwie kierowany dopływ środków produkcji i nawozów sztucznych na wieś. Pomijając nawet występujące tu i ówdzie kumoterstwo, czy wręcz łapownictwo, forsowano oficjalną tezę priorytetowych dostaw dla sektora społecznego, nie zastanawiając się, czy w aktualnej sytuacji prowadzi to do wzrostu produkcji rolnej i poprawy wyżywienia narodu czy też preferuje niską wydajność, niegospodarność, wysokie koszty.

Za fasadą hasła „liczy się każdy hektar” powiększała się ekstensywa, byle jaka gospodarka SKR-ów, mnożyła liczba hektarów, które co prawda nie leżały odłogiem, ale do ugoru niewiele im brakowało. Wierzyli się nie chciało, że w proponowanym niegdyś tzw. tuczu przyzwoitym koszt kilograma mięsa kalkulował się na poziomie dwustu i więcej złotych. Coś z tego kapła, ale nikt się nie pytał za jaką cenę, ile pasz trzeba było zużyć na przystosowanie jednego kilograma żywyca.

Zielone światło dla specjalistów okazało się również hasłem bez pokrycia. Zabrakło dostatecznego zaopatrzenia w materiały budowlane, maszyny, nawozy, środki ochrony roślin, ba — nawet w węgiel. Od jednego z rolników usłyszałem: „coraz więcej ode mnie wymagano, natomiast na coraz mniej mogłem liczyć”.

Pilna i zasadnicza zmiana polityki rolnej to podstawowa gwarancja odnowy na wsi. Oczywiście, przydaje czas na łaskawe potraktowanie inwestycji w przemysłach obsługujących gospodarkę żywnościową, ale i teraz można gospodarować lepiej, sprawiedliwiej dzielić, dostarczyć dobrym producentom więcej niż dotychczas.

Aby to mogło stać się, potrzebne jest spełnienie warunku społecznego: politycznego: trzeba przywrócić właściwą rangę samorządowi wiejskiemu. Nie tak nie pomaga w dobrych wynikach produkcyjnych jak współodpowiedzialność, współopodatkowanie, wciąganie tak potrzebne „chłopskiego rozumy” do decydowania o tym, co można i należy zrobić, żeby było lepiej.

JERZY BIELICKI

Ryszard Ostrowski wraz z żoną Marią, pracują w grajewskich Zakładach Płyt Wiórowych. Zajmuje stanowisko brygadzysty utrzymania ruchu. Po raz trzeci został wybrany do rady zakładowej.

— Można powiedzieć, że w naszym zakładzie strajku nie było. Przerwa trwała jeden dzień, w warsztacie mechanicznym, i wynikała z braku informacji: nie powiedziano ludziom, że zrównanie premii obejmie cały zakład. Zresztą z informacją i dziś nie jest dobrze. Niedawno mówiono w środkach masowego przekazu o strajku ostrzegawczym. Ale jaki cel miał mieć ten strajk, kogo miało ostrzegać — tego do dziś nie wiem.

Wybór nowej rady zakładowej był realizacją jednego z postulatów. Przedstawiciele WRZZ początkowo nie chcieli zgodzić się na te wybory, proponując tylko zmianę sekretarza i dokoptowanie członków. Jednak wybory odbyły się. Spośród dwudziestu jeden członków rady, tylko trzech pozostało ze starego składu. Mogę dobrze porównywać pracę starej i nowej rady zakładowej. Uważam, że nie należy przesadnie krytykować poprzedniej, ani przeceniać nowej. Tamtej radzie zarzucano, że zbyt mało uwagi poświęcała sprawom socjalnym. Myślę,

no-bytowa, mieszkaniowa, ds. osobowych, sportu i rekreacji. Chcemy, aby w sprawach, którymi komisja zajmuje się, rzeczywiście ona decydowała. Już dzisiaj widzimy, że nie będzie to łatwe. Na przykład komisja mieszkaniowa. Ma decydować o przydziale mieszkań. Dotychczas jej głos nie był brany pod uwagę. Ale coś z tego, jeśli do rozdziału nie mamy mieszkań zakładowych? W wielu z nich mieszkają ludzie nie pracujący już od długiego czasu u nas. Niełatwo ich teraz wykwatrować; do tego potrzebne są mieszkania zastępcze, a o te w Grajewie bardzo trudno. Albo komisja sportu i rekreacji. Jeśli uda się — tak jak planujemy — zbudować w Tamie ośrodek wypoczynkowy, to nie będzie czym dowieźć ludzi. Autobusu nie mamy, a osinobusem nie każdy chce jechać. Skorzystają więc posiadacze samochodów.

Wiele postulatów dotyczy płac. Otrzymałyśmy podwyżkę, średnio o 720 złotych. Ludzi niepokoi czy składa się na nią również 15-procento-

tego dodatku nie należałoby przyznać i u nas. Przecież my również pracujemy w systemie cztero-brygadowym.

Rodzi się pytanie: czy nasza rada będzie walczyła tylko o sprawy socjalne załogi, a więc czy nastąpi „przebieganie”, tym razem w inną stronę? Myślę, że nam to nie grozi. Wystąpiliśmy np. aby pracownikom przekraczającym normy produkcyjne przyznawać specjalne premie. To, że w tej chwili tak wiele uwagi poświęcamy sprawom socjalnym wynika z faktu, że tu właśnie powstało wiele zaległości.

Zajmujemy się również innymi sprawami. Chciałoby dostawy mięsa do zakładowego kiosku. Zdarzało się, przyjeżdżały puste pojemniki, z pieniędzmi w kopercie. Rada zakładowa uznała, że trzeba powołać komisję, która kontrolowałaby przydziały. W tej chwili czekamy na zatwierdzenie przez WSS zezwoleń uprawniających członków komisji do sprawdzania dostaw. Próbowaliśmy wprowadzić w naszym zakładzie

jak uniknąć ślepej uliczki

że nie była to tylko wina rady. Zakład nasz jest nowy. Na tym terenie nie było tradycji pracy w tak dużej i nowoczesnej fabryce. A plany otrzymałyśmy bez taryfy ulgowej. Nie więc dziwnego, że częściej mówiło się o produkcji niż o sprawach socjalnych.

Nowa rada „załatwiła” już kilka problemów. Władze miasta przydzieliły teren pod ogródki działkowe, ubiegaliśmy się o to od dawna. Będziemy mieli dom czasowy w okolicach Tamy. Nie twierdząc, że to wszystko jest zasługą rady. Trzeba sobie powiedzieć — teraz jest sprzyjająca atmosfera do załatwiania takich spraw. Przedtem obowiązywała procedura: wszystko się musi odeleżać.

W nowej radzie zmiany rozpoczęliśmy od przyspieszenia trybu pracy. Postanowiliśmy zbierać się na plenum przynajmniej dwa razy w miesiącu. Na posiedzenia zapraszamy mężów zaufania i społecznych inspektorów pracy z działów, których dotyczy rozpatrywana sprawa. Powołaliśmy kilka komisji: socjal-

wy dodatek za uciążliwość pracy, który otrzymaliśmy wcześniej. Zjednoczenie nie przyszło dotychczas wytycznych w tej sprawie. Myślę, że gdyby tego rodzaju problemy rozwiązywano szybciej, to mniej byłoby dyskusji w zakładach i ludzie pracowaliby spokojniej. Inny postulat dotyczy podwyżki za pracę na drugiej zmianie. Ludzie mówią: „Poszedłbym z żoną i dziećmi do lasu, ale muszę iść do pracy, zrekompenzujecie to pieniędzmi”. Proponują, aby dodatki za pracę na drugiej i trzeciej zmianie wynosiły tyle samo co w innych zakładach. Bo dotychczas to różnice występują nawet między zakładami tej samej branży. Owszem, praca może być bardziej szkodliwa dla zdrowia w jednym zakładzie, w drugim mniej. Ale od tego są specjalne dodatki. Jednak w pogoni za zrównaniem, łatwo można trafić w ślepa uliczkę. Któryś z pracowników dowiedział się, że w Legnickim, w kopalni miedzi, górnicy pracują w systemie czterobrygadowym i z tego tytułu otrzymują specjalne dodatki. Zaczęliśmy się więc zastanawiać, czy

kartki na mięso, ale WSS nie zgodził się. Po prostu trzeba byłoby zwiększyć przydział. Ratuje nas stół. Nie otrzymujemy dużych ilości mięsa, ale kucharki potrafią prawie z niczego zrobić obiad.

— Chwalisz stołówek, bo ja tam pracuję — mówi żona, która dotychczas milczała, przysłuchując się męskiej rozmowie.

— Może to prawda, teraz jak jesteś na urlopie i gotujesz w domu przestałem jadać w stołówce.

— Pracownicy mają do nas, do obsługi kuchni pretensje o to, że na każdym stole nie stoi koszyk z chlebem. Wiem, że takie koszyki w magazynie są i zapewne zostaną ustawione. Ale w wielu wypadkach winni są sami konsumenci. Kupiliśmy np. komplet sztućców, jednak szybko „wyszły”. Ginę serwetniki. A za to odpowiada kierowniczka, ona płaci, gdy czegoś brakuje. Nic więc dziwnego, że nie wszystko znajduje się na stole; w magazynie jest przynajmniej bezpieczne.

WIESŁAW KOŁOWSKI

Fot. Gabor Lőrinczy



co u państwa słychać?



W maju br. na skutek nieszczęśliwej rury powstał na jednej ze ścian w moim mieszkaniu mały zarysek. Powiadomiłam o awarii pracowników Spółdzielni Mieszkaniowej w Wysokim Mazowieckiem, w której mieli natychmiast przyjść i uszczelnienie. Idą do dzisiaj. Tymczasem zaciek stale się powiększa. Przepraszam, byli raz, we wrześniu, obejrżeli czarną, cuchnącą ścianę, pokiwali głowami, zgodnie oświadczając, że jest niedobrze i poszli. Ich wizyta nastąpiła po mojej interwencji u prezesa Spółdzielni. Teraz minął kolejny miesiąc i nadal Spółdzielnia nie podejmuje żadnego działania w tej sprawie. Moje osobiste telefoniczne próby nie przynoszą żadnego rezultatu. Myślę, że Spółdzielnia Mieszkaniowa powinna dbać nie tylko o swoje konto bankowe, ale i o swoje karami już za kilkudniowe opóźnienie w zapłacie czynszu, czy też z podziwu godną dokładnością egzekwując inne opłaty, ale przede wszystkim — zrozumieć swoją rolę wobec lokatorów, którzy przebiegają płacą czynsz i chcą mieszkać w godziwych warunkach.

JANINA PIENKOWSKA
Wysokie Mazowieckie

Od przeszło tygodnia nie kursują autobusy miejskie. Od dyspozytora ZKM dowiedziałam się, że jest to spowodowane nieprzejezdnością drogi do Marianowa. Droga jest rzeczywiście remontowana, jednak pomimo to codziennie setki samochodów jakoś sobie radzą; kursują nawet autobusy PKS. Czy rzeczywiście 500 osób, które codziennie dojeżdża do szkoły w Marianowie i wiele innych w przeznaczonym kierunku do pracy i szkół musi pokonywać, sporą przecież, odległość z Piątnicy do Marianowa piechotą. Może dałoby się również przedłużyć o jeden przystanek trasę autobusów linii 1 z Piątnicy do Marianowa, co znacznie polepszyłoby naszą sytuację.

ELŻBIETA SAROSIEK
Marianowo

Muszę przyznać, kochana Redakcjo, że lepsza jest sytuacja kiedy jest brak informacji niż dezinformacja, która obecnie istnieje. Podziwiam karmieni są takimi oto pochwiankami: „Autobus z Kolna do X... o godzinie... nie odjedzie”. Ba, ale diabli wiedzą dlaczego nie odjedzie i jak dojechać do X...? I co taka matka z małym dzieckiem ma pojechać? Komunikacji z Kolna do X... — innego typu nie ma, nie znamy ani lotniska ani kolejki. Kiedyś była i diabli wiedzą czemu zlikwidowano. Inny typ informacji: „Autobus do Zbójnej... stanowisko zawarte...” i co dalej, ludzie czekają, bo nie zapowiedziano ani godziny odjazdu, ani przyczyn, dlaczego autobus nie podejżdża. Można stać całą godzinę (i więcej) zanim zapowiedziany autobus łaskawie zlituje się nad czekającymi ludźmi, którzy siedzą przy autobusie, czekając na zapowiedziany autobus dlaczego go nie ma... w informacji nie uzyskałam odpowiedzi ale zdążyłam zawołać i usłyszeć, że kierowca tego autobusu spotkał kolegę i... podjechał sobie pojechał do zajezdni — bo mu było tak wygodniej. Taka sytuacja jest na porządku dziennym. Jest chyba działaniem sił nieczyści. Proponuję — Kochana Redakcjo — wzbogacić ostatnią stronę „Kontaktów” o diabla Kolneńskiego i Kurpiowskiego, który te sytuacje spowodował.

ZDZISŁAW TUR
Kolno

Do redakcji napływa coraz więcej społecznych przysług. Niektóre z nich poruszają niezwykle ważne problemy. Niestety, jako anonimowe nie są wykorzystane. Ponownie więc zwracamy się z serdeczną prośbą do naszych Czytelników o podpisywanie się pod listami pełnymi imieniem i nazwiskiem. W drażniących sprawach zawsze można nieść zastrzech nazwisko i adres, co do wiadomości redakcji.



wiemy co jest możliwe

JANINA LUNIEWSKA, pracownik Zakładu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Zambrowie. W czasie strajku członek komitetu strajkowego: — Nie nazwałabym tego strajkiem, po prostu pierwsza zmiana nie pracowała, więc i my nie podjęliśmy pracy. Pracujemy w bardzo ciężkich warunkach, ciągle w styczności z wodą. Prawie wszystkie mamy reumatyzm, chorujemy na stawy. W produkcji większość zatrudnionych to kobiety. Uważaliśmy, że za taką ciężką pracę należy się nam więcej niż 14,50 za godzinę jak dotychczas. Początkowo prezes WSOP nie chciał dać nam podwyżki. Zasiłaniał się kodeksami, z których jakoby wynikało, że podwyżka nie należy się nam. W końcu powiedzieli — możemy podwyższyć o pięćdziesiąt groszy za godzinę, wtedy zastrajkowaliśmy. W końcu dodano nam po złotówce. Pieniądże podzieliła komisja. Wszyscy otrzymali taką samą ilość za godzinę. Różnice będą tylko w dodatkach za wysługę lat, ale to jest zrozumiałe.

Zadaliśmy ogrzewania pomieszczeń, w których pracujemy. Dotychczas było to niemożliwe. Teraz również hala nie jest ogrzewana, ale ciepło mamy przynajmniej w jadalni. Dyrektor obiecał, że zimą otrzymamy gorące posiłki, tak jak pracownicy na powietrzu.

Wybraliśmy nową radę zakładową. Szczerze mówiąc nie wiem, dlaczego poprzednia ludźmi nie odpowiadała. Obecnie przewodniczącym rady jest mężczyzna, mimo że większość załogi to kobiety.

Postulowaliśmy otwarcie kiosku zakładowego, ograniczenie sprzedaży alkoholu. Ludzie proponowali wprowadzenie kartek na wódkę tak jak na cukier. Nie domagaliśmy się większej zmiany warunków pracy, bo wiemy, że nie jest to możliwe. Wszystko to stare rudery i nie oplaci się modernizować. Teraz czekamy na nową halę.

Czy pracujemy dobrze? Trudno mi ocenić. Mogę powiedzieć tylko, że jeśli jest pilna praca, to przychodzimy do zakładu o czternastej i wychodzimy następnego dnia również o czternastej. Czy możemy dać z siebie jeszcze więcej?

podwyżka była najważniejsza

EUGENIUSZ WARDASZKO — dyrektor Zakładu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Zambrowie: — Najważniejszym postulatem była podwyżka płac. Załoga zażądała po 1000 złotych dla pracowników produkcyjnych, zaś umysłowym przesunięciem o trzy grupy płacowe. Od pierwszego października objęci zostaliśmy nowym taryfikatorem. Średnio podwyżka wynosi siedemset złotych. Po regulacji wywiesiliśmy listy z informacją, kto ile otrzymał. Rozdział dokonała komisja. Do 24 października można było składać reklamacje; nie zgłoszono żadnych.

Postulaty dotyczyły również spraw zakładowych: odzieży ochronnej, roboczej, butów, mydła, ręczników. Poprzednio nie zawsze udawało się nam te potrzeby zaspokoić. Najczęściej dlatego, że potrzebnych towarów albo nie było, albo nie chcieli ich sprzedać na rachunek. Zaopatrzeniowcy też nie zawsze kupowali to, co najbardziej potrzebne. Złożyliśmy także wniosek o otwarcie kiosku zakładowego, ale WSS nie zgodziło się. Podobnie negatywną odpowiedź otrzymaliśmy w sprawie ograniczenia punktów sprzedaży alkoholu.

We wnioskach pracownicy domagają się ujednolicenia opłat za mieszkanie. Tak, aby za ten sam metraż w mieszkaniu spółdzielczym i kwaterunkowym płacono jednakową sumę. Podobnego typu był postulat dotyczący alimentacji. Chodzi o podniesienie wysokości sumy, od której przysługuje pomoc z funduszu alimentacyjnego. Propozycję tę wysłaliśmy do instytucji bezpośrednio zajmujących się daną sprawą.

Nie mogę mieć pretensji do załogi o jakość pracy. Zadania wykonujemy bardzo dobrze, na dowód — plan tegoroczny przekroczyliśmy. Nie dziwię się, że postulatów dotyczących warunków pracy było niewiele. Z jednej strony ludzie przyzwyczaili się do ciężkiej pracy, z drugiej — wszyscy wiedzą, że bez budowy nowej hali wiele się nie zdziała. W tym roku Oddział Budowlano-Montażowy w Wysokim Mazowieckim rozpoczął budowę hali. Przygotowujemy teren pod budowę, robimy wszystko, aby budowa ruszyła. Od jej szybkiego zakończenia zależy poprawa warunków pracy załogi. (wk)



Najtrudniejsze dni jesienno-zimowego „szczytu” energetycznego jeszcze przed nami. Jakże one będą? Prognozy nie są optymistyczne. W grudniu może zabraknąć nawet do dwóch tysięcy megawatów (czterokrotne zapotrzebowanie Warszawy z całym jej przemysłem). Co to oznacza dla mieszkańców i zakładów pracy woj. łomżyńskiego?

Przez radio słyszymy codziennie komunikaty ogłaszane przez Centralną Dyspozycję Mocy. W ostatnich tygodniach wciąż informowała ona o szesnastym stopniu zasilania. Tajemniczy dla przeciętnego słuchacza, szyfr przeznaczony jest dla energetyków z zakładów produkcyjnych. Nakazuje on odpowiednie zmniejszenie poboru energii. Ostatni, dwudziesty stopień zasilania — to niemal katastrofa (jak twierdzą niektórzy, przy dwudziestym pierwszym paliliby się już tylko gwiazda polarna): może on podczas tegorocznej zimy oznaczać konieczność wyłączeń dochodzących do blisko trzech tysięcy megawatów.

Cena niebilansowania potrzeb z podażą energii będzie w tym roku jeszcze wyższa niż w ubiegłym. Cho-

wiedzialna za energetykę w województwie, można by wyłączyć unię, gdyby wszyscy odbiorcy — chodzi głównie o przemysł — chcieli się do zaleceń o ograniczeniu poboru energii, wynikających z silania (a tak niestety nie zawsze jest i gdyby zapobiec wszelkim niespodziewanym awariom w elektrowni (co jest niemożliwe). W takiej sytuacji pozostaje jedynie do rozstrzygnięcia problem, komu należy wyłączać energię (na sam moment wyłączenia bowiem Rejon Energetyczny nie ma wpływu, gdyż energię magazynować nie można). W chwili alarmu działać trzeba natychmiast. Praktyka jest taka, że na pierwszy ogień idą tereny wiejskie łączące się punktami usługowymi i małymi zakładami produkcyjnymi oraz częściej odbiorcy w miastach. Taka właśnie kolejność ma zapewnić ograniczenie strat gospodarczych do minimum. Argument niewątpliwie słuszny. Czy jednak rzeczywiście kierowany jest pod najlepszym adresem? Jak wielką wagę przywiązujemy w chwili obecnej do produkcji żywności, nie trzeba nikomu mówić. A przy tym wieś nie należy przecież do największych konsumentów pra-

gdy gaśnie światło

dzi jednak o to, by skutki tej energetycznej dysharmonii rozłożyć sprawiedliwie na wszystkich mieszkańców kraju, a straty gospodarcze — zminimalizować.

Najboleśniejszym następstwem niedoboru energii jest odcięcie jej dopływu. Tylko w trzech pierwszych tygodniach października — jak poinformował kierownik Rejonu Energetycznego w Łomży, inż. Jerzy Bilmin — musiano w Łomżyńskim zrobić to dziesięciokrotnie. Tyle właśnie razy przyszła dyspozycja z centrum, gdzie uznano sytuację za katastrofalną. Są cztery stopnie tej katastrofalności (lub jak się to obecnie fachowo nazywa „awaryjności”). Przy ostatnim, „A-4”, należy wyłączyć prąd połowie odbiorców w regionie. Oznacza to na przykład, że tylko połowa mieszkańców Łomży i jej zakładów otrzyma energię elektryczną. W ostatnich tygodniach zdarzyło się to dwa razy. Przy „awaryjności” niższego stopnia wyłącza się na przemian, co godzinę część linii przesyłowych tzw. średniego napięcia (np. przy „A-1”, siedem linii z czternastu wytypowanych do wyłączeń). W takich przypadkach pozbawieni prądu są wszyscy podłączeni do tych linii odbiorcy (gospodarstwa indywidualne, zakłady, punkty usługowe, centrale telefoniczne) aż do chwili odwołania alarmu. Jak dezorganizuje i utrudnia to życie — dobrze wiemy.

Czy można tego uniknąć? Dlaczego wyłącza się prąd na wsi akurat wtedy, gdy rolnicy wracają z pola? — to tylko dwa pytania spośród wielu, z jakimi zwracają się do nas Czytelnicy. Jak twierdzą osoby odpo-

du. Dlatego też warto postulować by wynikające z wyłączeń utrudnienia i „nerwy” dzielić sprawiedliwie i w oparciu o rzetelną analizę dobrej pojętych interesów gospodarki i ludzi.

I jeszcze jedna sprawa. Na częstotliwość wyłączeń wpływ mają także my wszyscy. Szczególnie w trudnych miesiącach zimowych wiele zależy od naszej dyscypliny i zrozumienia powagi sytuacji. W krajowym programie oszczędności energetycznych między innymi zakłada się, że rejon łomżyński dodatkowo oszczędzi w godzinach 9.00—10.00 i 17.00—18.00 siedem megawatów energii. Wymaga to wprowadzenia tzw. wyłączeń rotacyjnych, które obejmują kilkadziesiąt obiektów (warsztaty usługowe, urzędy, hotele, internaty, domy kultury, obiekty sportowe, domy towarowe). Konkretne decyzje w tej sprawie należą do wojewody, który na szalę musi położyć rzeczywiste potrzeby i interesy „małych” odbiorców energii oraz mieszkańców regionu. Oczywiście, nie sposób byłoby kontrolować realizacji tych ograniczeń w każdym z obiektów. Właśnie dlatego tak ważnym musi się stać poczucie odpowiedzialności. Zależność jest bowiem prosta: większe niż zakładano zużycie energii musi prowadzić do częstszych alarmów. A skutki ich są przecież jeszcze dotkliwsze niż przestrzeganie ograniczeń. Nie ma więc żadnej przesady w stwierdzeniu, że w nadchodzących tygodniach „wagę” będzie rzucać każda zbędnie zapalona żarówka.

MAREK ROSIŃSKI

punkt widzenia

z dnia na dzień

POMYSŁNIE REALIZUJĄ ZADANIA

Żalogi grajewskich przedsiębiorstw pomyslnie realizują zadania. Zakłady Płyt Włókowych mimo lipcowej awarii i zakłóceń w dostawach materiałów wykonały plan sprzedaży za 9 miesięcy w 109 proc. Kobięca załoga Zakładu Odzieżowego „Bielpo” zrealizowała zadania w 106,3 proc. Bez większych zakłóceń wykonuje zadania załoga Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego. Zakład Remontowo-Montażowy WZSR plan produkcji i usług za wrzesień br zrealizował w 117 proc. a Wytwórczo-Usługowa Spółdzielnia Pracy w 104,1 proc. Są to krzepiące, choć niestety zbyt rzadkie, wiadomości.

CZYM SIĘ MARTWIĄ W GMINIE STAWISKI

Tegoroczne gradobicia spowodowały

wwały wiele szkód w rolnictwie. W gminie Stawiski wykopano dotychczas 84 proc. ziemniaków. Rolnicy uważają, że pozostałych nie da się uratować. Obowiązek oszacowania zniszczeń nałożono na pracowników służby rolnej. Brak doświadczenia, trudności w obiektywnej ocenie szkód stają się powodem nieporozumień. Odszkodowania otrzymają tylko ci rolnicy, u których zniszczeniu uległo 50 proc. zasiewu. Natomiast rolnikom, u których straty w planach sięgają od 10 do 50 proc. — zgodnie z zarządzeniem wojewody — umarza się całkowicie lub częściowo zwartą część podatku. Do 1 listopada powinna zostać zakończona wycena strat siana. Obecnie najważniejszą sprawą jest właściwa konserwacja pasz. Wiadomo, że w tym roku będzie ich w gminie mniej o 40 proc. w porównaniu do roku ubiegłego.

KŁOPOTY Z PASZĄ

Po nieurodzajnych sianokosach i nie najlepszych żniwach, rolnicy z gminy Grajewo zebrali o połowę

mniej ziemniaków niż w ubiegłym roku. Odbija się to niewątpliwie na nich samych jak i na rynku. Już w tej chwili wysokie ceny ziemniaków zniechęcają do hodowli. Najlepiej świadczy o tym cena prosiat, która nie przekracza 600 zł za parę. Natomiast w ubiegłym roku, kiedy mówiło się wręcz o „kleśce urodzaju” ziemniaków, nie poczyniono żadnych zapasów — zabrakło odpowiednich urządzeń do ich przerobu. Na dodek, w tym roku kapryśna aura przyczyniła się do gwałtownego skrócenia okresu wypasu i wcześniejszego niż zwykle sięgnięcia do zimowego zapasu. Jak zatem będzie z paszami przez całą zimę i u progu wiosny? Pytanie to dręczy już nie tylko rolników.

NOWA PRACOWNIA PLASTYCZNA

Uczestnicy spotkania rozpoczynającego nowy rok kulturalno-oświatowy w łomżyńskich placówkach kulturalnych wzięli udział w otwarciu pracowni plastycznej na osiedlu „Jantar”. Zwiedzili również placówki kulturalno-wychowawcze osiedla

Spotkanie zakończyła dyskusja na temat organizacji życia kulturalnego w Łomży.

TURNÉE ZESPOŁU „ŁOMŻA”

W dniach 11—20 października Zespół Pieśni i Tańca „Łomża” działający przy WDK przebywał w Białymostku. Zespół prowadzony przez Janę Sławę Rekoszą — kierownika artystycznego i Kazimierza Pawczyńskiego — choreografa, zaprezentował mieszkańcom Kuli, Drewnowa i Rekowicy suitę kurpiowską i polskie tańce narodowe — suitę Księża Warszawskiego, suitę kontusową, kujawiaka oberka, krakowiaka.

CENA NIEROZWAGI

Konstanty P. mieszkaniec Łomży kupując na klatce schodowej swym bloku grzyby od przygodnie poznanej kobiety, wyjął z kieszeni i położył na kaloryferze paczkę zawartością 77 tys. złotych. Skoro stało z tego dwóch mężczyzn, którzy wbiegli na klatkę, zabrali pieniądze i zbiegli. Pokrzywdzony twierdzi, że sprawców już kiedyś widział.

pokazówka w gminie

5
KONTAKTY
9 XI 80



wykopki

Takiej obory w gminie Zawady jeszcze nie było. Pięćdziesiąt krów dojnych i tyle samo jałówek miało stać na materacach, z wodą bieżącą pod pyskiem. Mechaniczne usuwanie nawozu, własny hydrofor i agregat prądotwórczy — pełna nowoczesność. Obora marzeń wielu rolników.

Tadeusz Górski z Targoni Wit pamięta jak przed kilku laty zapragnął dobrze gospodarzyć: rozbudować gospodarstwo, dokupić ziemi, rozwinąć hodowlę.

— Dość miałem dojazdów do pracy w Białymstoku. Serce drżało jak z autobusu widziałem oraczy. Gdy po dwóch latach wróciłem z zakładu karnego, gospodarstwo zastałem w stanie opłakanym. Walczą się obora, taka sama stodoła, zachwaszczone pola. Zaczęłem od zbudowania obory. Przybywało bukatów więc rychło okazała się za ciasna. Nie było wyjścia, musiałem budować nową. Z instruktorem, panią Raszkiewiczową zastanawialiśmy się często jak postąpić. — Jeśli budować to większą, niech ludzie zobaczą, że taka będzie lepsza — radziła. Zdecydowałem. Pojechaliśmy do Zambrowa, do WZIR-u wybrać projekt.

Urząd Gminy w Zawadach decyzją z 10 marca 1977 roku zezwolił na budowę obory. Bank Spółdzielczy otworzył rolnikowi kredyt na sumę dwóch milionów złotych. Za taką decyzją przemawiało to, że u Górskich rzeczywiście zwierząt przybywało, hodowla powiększała się. W tym czasie również Górski wygrał ciągnik w konkursie „Pasze jak złoto” i sprzedał państwu produkty rolne wartości półtora miliona złotych. Jak było więc nie zaufać takiemu rolnikowi! Wtedy zaczęły się kłopoty.

— Najpierw czekałem pół roku na projekt. Miała to być obora typowa. Ale drzwi zaprojektowano tak, że nie przeszłyby przez nie przyczepa traktorowa. Przecież wiadomo, że przy takiej liczbie zwierząt nie można karmić ich inaczej jak z przyczepy. Zgodziłem majstra. Zobowiązał się przygotować fundamenty. Okazało się, że źle załat poduszki pod filary. Musiałem wyrwać je sypchaczem. Materiały poszły na marne, a ludziom, chociaż zrobili źle, też trzeba było zapłacić. Fachowcy z Białegostoku założyli fundamenty, postawili ściany. Między dwie warstwy ściany wkłada się styropian i wapno. Pan Urbanowicz (z szepietowskiego WOPR-u) poradził mi użyć wapna niegaszonego. Postanowiłem także dodatkowo ocieplić ściany trocinami. Przywiozłem z SKR-u około 20 ton wapna i kilkanaście rozrzutników trocin. Mieszanina trocin i wapna, którą wysypaliśmy w otwory w ścianie po kilku godzinach zaczęła się palić. Trzeba ją było wydłubywać z powrotem. Reszta wapna leżała na podwórku do jesieni, aż w końcu eskaer rozwiózł je po polach. Oczywiście, nikt mi za to pieniędzy nie zwrócił. Pokryłem jeszcze oborę dachem i w 1978 roku prace stanęły. Dalej budować nie miałem już za co. Bank odmówił przyznania dodatkowego kredytu.

Zarzucała mi, że kupowałem maszyny zamiast przeznaczyć pieniądze na budowę. Ale czy mogłem czekać z rozwijaniem hodowli, aż zakończę budowę? Gdybym tak zrobił, to po zbudowaniu obory nie miałbym co do niej wstawić. Przecież nie kupię od razu całego stada krów i jałówek. Mam doświadczenie, że część z nich nie nadawałaby się wtedy do hodowli. Przez stopniowe powiększanie stada łatwiej organizować pracę w gospodarstwie. Przy tej ilości zwierząt, jaką obecnie posiadam, potrzeba dużo paszy. Dokupiłem więc ziemi, część wydzierżawiłem, w sumie mam 33 hektary. Przecież nie obrobię jej gołymi rękami, potrzebne są maszyny. Gdy zdarzyła się okazja dokupiłem jeszcze jeden ciągnik. Przy tak dużym gospodarstwie potrzebne są dwa. Szczególnie teraz, gdy jeden zepsuł mi się. Mam jeszcze cyklon, trzy

przyczepy, roztrzaskacz nawozu. Niektórzy mówią, że sprzętu u mnie więcej niż w niejednym eskaerze. Teraz na przykład zamierzam kupić maszynę do kukurydzy. Dotychczas w zbiorach korzystałem z pomocy SKR-u. Ale cóż to za pomoc. Jednego roku przyjechali chłopcy kosić kukurydzę. Pijani, poniszczyli ją tylko. Pamiętam jak 30 listopada, zmarznącą, musiałem ścinać siekierą. Poza tym ceny usług są coraz wyższe, lepiej opłacić się teraz pracować własną maszyną.

Bank obliczając moje wydatki nie mógł również wliczyć, na przykład, 300 tysięcy, które poszły na łapówki. Świadców mam. Gdy są duże pieniądze, każdy chce coś uszczknąć dla siebie. Tymczasem bank odmawiając dodatkowego kredytu uzasadnił to: rolnik nie zaangażował do budowy deklarowanych środków własnych. Taki wniosek wypływa z analizy kosztorysu. Ale nie jest on jednoznaczny gdy bliżej przyjrzeć się życiu.

Dyrektor Banku Spółdzielczego w Zawadach posiada trzy różne kosztorysy tej samej obory w Targoniach Witach. Dwa z nich sumują wszystkie koszty, ale wynik dają różny. Pierwszy sporządzony przez Zespół Usług Projektowych w Zambrowie koszt budowy szacuje na 3 miliony 500 tysięcy złotych. Drugi, przygotowany przez pracownika Urzędu Gminy w Tykocinie i przez tamtejszego naczelnika zatwierdzony, sumę tę powiększa o ponad milion. Chociaż trudno dociec na czyje polecenie ten ostatni kosztorys był wykonywany, dyrektor banku traktuje go jako dokument. Są też różnice w wycenie poszczególnych urządzeń. Na przykład zbiornik na gnojowicę w pierwszym kosztorysie wyceniono na 152 tysiące, w drugim, tzw. przejściowym, na 47 tysięcy. Dlaczego? — również nie bardzo wiadomo. Czy w tej sytuacji kosztorys może być wiarygodnym źródłem informacji? Wydaje się, że powinna go uzupełniać analiza gospodarstwa na miejscu, u rolnika. Inspektor Budownictwa w Zawadach uważa, że rolnik na pewno pieniędzy nie przepił. Można tylko postawić Górskiemu zarzut, że źle rozplanował środki.

Rady mądre, ale spóźnione. Dlaczego nikomu w gminie Zawady nie przyszło do głowy, że skoro jest to budowa tak kosztowna to trzeba ją chociaż raz na jakiś czas kontrolować? Dlaczego Bank Spółdzielczy, nie zwrócił wcześniej rolnikowi uwagi, że niewłaściwie gospodaruje środkami? Dano tylko pieniądze i — buduj pokazówkę!

Od dwóch lat nie ukończona obora służy w części jako magazyn. Natomiast jałówki stoją w prowizorycznej zagrodzie, zaś pozostałe 12 krów i 60 cieląt ciśnie się w stodołę i prymitywnej oborze. A są jeszcze warchlaki i maciory.

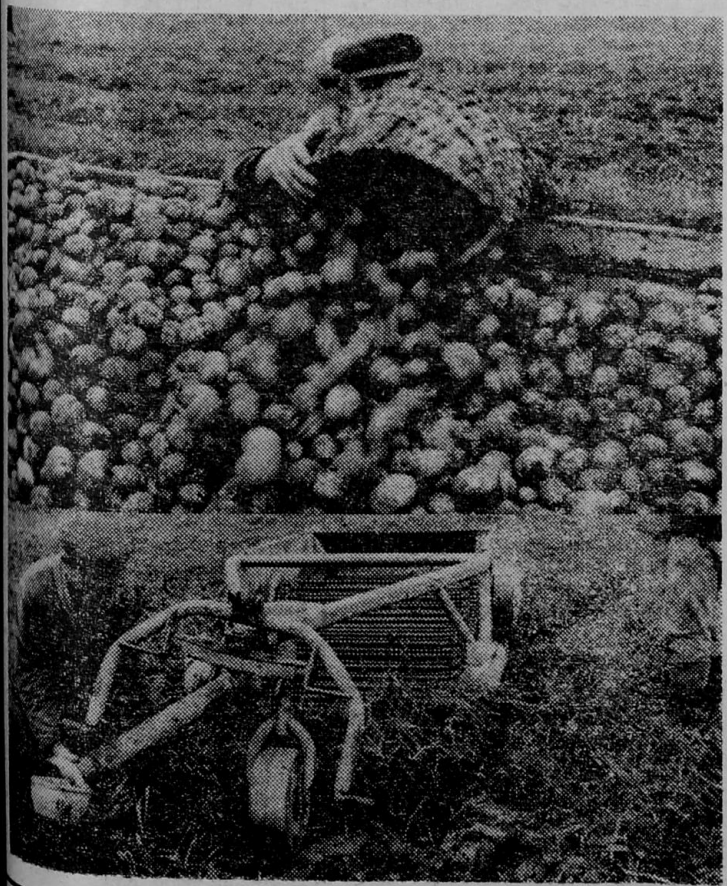
Od roku dział BGŻ-u w Łomży, nadzorujący Banki Spółdzielcze nie może zdecydować się czy złożyć wniosek o przyznanie rolnikowi dodatkowego kredytu. Obecnie uzależnia swoją decyzję od jeszcze jednej kontroli. Zrozumiał jest opór gospodarza społecznych pieniędzy przed ich pochopnym wydaniem. Ale gdyby przeprowadzić rachunek strat i zysków, to nie wiadomo, czy ze społecznej punktu widzenia więcej nie tracimy na tym, że wielka obora stoi pusta.

Jedno obecnie jest pewne. Obora powinna być jak najszybciej ukończona. Ponieważ sam rolnik nie jest w stanie tego zrobić, ma prawo liczyć na pomoc. Tym bardziej, że przecież dodatkowo pożyczone pieniądze będzie spłacał tak bardzo nam potrzebną produkcją zwierzęcą. Oczywiście ewentualne przyznanie mu kredytu należałoby powiązać ze zwiększeniem kontroli celowości jego wydatkowania. Zapobieganie to powstaniu poważniejszych nieporozumień.

WIESŁAW KOŁOWSKI

sytuację za poważną: — Od 11 września skupiliśmy i przerobiliśmy 22 tys. ton. O ile dobrze pójdzie przerobimy jeszcze 3 tys. ton ziemniaków. Punktem skupu pospieszyło z pomocą ponad 100 osób oddelganych z administracji naszych zakładów. Jesteśmy jedynym producentem glukozy w Polsce. W żadnym wypadku nie możemy zawieść farmaceutów z „Polfy”. Chodzi przecież o lekarstwa dla ludzi. Do 15 stycznia będziemy produkować krochmal, z którego uzyskamy tak potrzebną glukozę. Łomżyńskie jest w tej chwili największym producentem ziemniaków w Polsce. Można by rzec, że jesteśmy „zagłębiem”. Dlatego z zakupionych od rolników plodów ponad 35 tys. ton odstąpimy innym województwom na cele konsumpcyjne. W pierwszej kolejności odbiorcom z Katowic, Krakowa, Łodzi, Warszawy, Wałbrzycha.

Tekst i foto. GABOR LÖRINCZY



interwencje

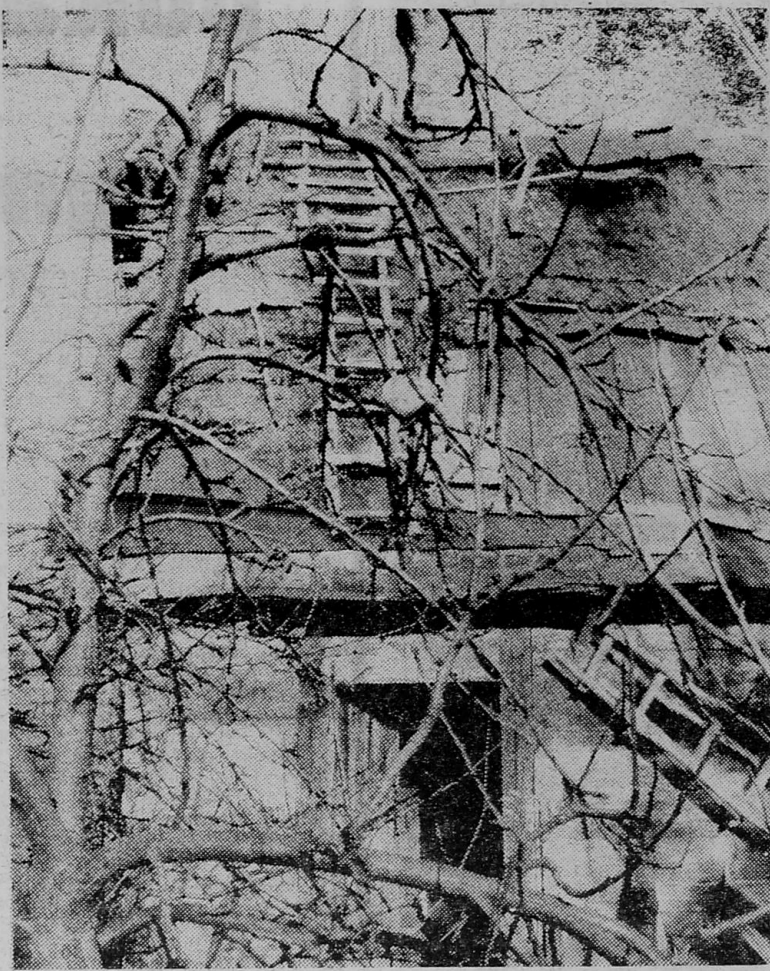


koło ich zagrody, nasuwa się pytanie: dlaczego na tym peryferyjnym kawałku miasta czas od zakończenia wojny poszedł w zupełnie przeciwnym kierunku niż na podwórkach sąsiednich gospodarzy? Pochylił starą, drewnianą chatę, przysprószył ją zielonym mchem, przekreślił komin, a pod oknami wystrzelił, prawie po samą strzechę, kępami lebiody i łopianu, zasłonił nimi stodołę. Ostatki sliw z zasuszonymi na drzewach owocami wskazują na to, że był tu kiedyś piękny sad. Dziś jego zdżiczale resztki przysłoniły się do wysokich chwastów i trwają w bezruchu.

RODZINNA ZGODA

Każda władza w Zambrowie — zdaniem Szostakiewiczów — zawsze była ustawiona przeciwko nim. Jeden zambrowianin, będąc na ich miejscu, machnąłby na to ręką, pozwoliłby wyrównać poniesione straty pieniędzmi, lecz dla nich, Szostakiewiczów, istnieją na świecie tylko dwie wielkie wartości: ziemia i rodzina. Sąsiedzi, właściciele nowoczesnych willi i klasycznych drewnianych, pomarańczowych domków, żyją z nimi w zgodzie, lecz nie pochwalają ani ich stylu życia, ani gospodarowania. Bardzo cenia natomiast Szostakiewiczowską rodzinną zgodę.

— Toż tam ich siedzi pięcioro — powiada jeden z nich — stara panna i czterech starych kawalerów. Aż dziw człowieka bierze, że nie kłóca się z sobą, nie biją. Każdy ma swoje obowiązki. Feluś, z 1913 r., trzyma całą kasę. Targuje. Załatwia wszelkie sprawy. Robi zakupy. Nie mierzy więcej niż metr pięćdziesiąt.



STANISŁAW ZIELIŃSKI

Szostakiewiczów

Gdyby był sprytniejszy, bez schyłania się i ukłonów mógłby dostać się w sklepie pod każdą ładę. Ale on ho, ho, jest honorowym Szostakiewiczem. Nie prosi, a tym bardziej nie ubiega się o czyjąś łaskę.

Piotruś, najstarszy, 85 latek, odpowiada za siłę pociągową całego gospodarstwa. Jeździ w konia i dogląda go. Gdy któryś z braci chce gdzieś jechać, musi mieć podwójną zgodę: Felusia, aby dostać od niego przynajmniej pięć złotych na bułkę, i Piotrusia, na zaprzęgnięcie konia do wozu. Piotruś rozumie, że pieniądze są rzeczą nabytą. Przychodzą i rozchodzą się każdego dnia. Lecz koń — to zupełnie co innego. Może zmarnować się bardzo szybko. Nigdy nie wypuszcza go ze swoich opiekuńczych rąk. Jeśli już gdzieś naprawdę i konieczność trzeba jechać, to woli sam. Łatwo więc się domyślić, że większość tras Szostakiewiczów pokonują pieszo.

78-letni Franciszek i 71-letni Józef odpowiadają za pole, uprawy, urodzaj i zbiory. Zimą zaś dopilnowują obór: krowy, konie, noszą pasze, młocą. Dom i kuchnię prowadzi siostra Marianna. Liczy już sobie 73 lata, lecz gdyby nie tarczycza, która szczególnie ją zmagała, byłaby jeszcze kobietą pełną siły.

Właśnie ostatnio straszna bieda padła na Szostakiewiczów. Zabrali do szpitala gospodynię, duszę całego domu. W Szostakiewiczowskim porządku prowadzenia gospodarstwa nastąpiła ogromna luka. Feluś chodził do sklepów, kupował chleb, puszkę. Żyli się, jak mogli. „Bardzo źle jest w domu bez kobiety — powiadała zgodnie. — Nie ma komu gotować, prać”.

Trudno powiedzieć, jak toczyłyby się losy gospodarstwa, gdyby zabrakło w nim Marianny. Ona jest inicjatorką wszystkich poczynań. Bracia słuchają jej jak matki i mądrej żony, choć to ostatnie słowo jest obce każdemu z nich.

— Gdyby nie ona — przyznaje najstarszy z braci, Piotruś — rozkradliby nas i zgębił. Marianna nie da się nikomu. Raz tylko dziwny przydarzył się jej przypadek; z nikim się nie zadawała, a urodziła dziecko. Widocznie tak Pan Bóg

chciał, aby w przyszłości było komu przekazać gospodarstwo.

NA OJCOWIZNIE!

— Nie ma na świecie sprawiedliwości — mówi Marianna. — Każda zambrowska władza uwizinała się na nas. Arystokratyczna zabrała nam pierwszorzędną ziemię, ludowa — najlepsze siedliska. Pierwsza rewolucja była na naszym polu w roku 1924. Mielśmy wtedy ziemię w kilku kawałkach. Zaczęli nam komasować grunta. Dali w jednym kawałku, lecz z dala od wodopoju i najsłabsze. Matka prawowała się z nimi. Napisała skargę do ministra Rolnictwa. Przyjechał sąd z Warszawy, wymierzyl, wycenili i przykazal gminie wyrównać Szostakiewiczom poniesione straty sumą 390 złotych! Komasaści jednak nie cofnęli. Nie przyjęliśmy tych pieniędzy i przez trzynastę lat, na znak protestu, nie uprawialiśmy swego pola. Porosły je chwasty i dzika trawa. Sąsiedzi wypasali tam krowy.

Cieżko nam wtedy było. Musieliśmy chodzić na zarobek do bogatszych gospodarzy, by jakoś wyżyć. Nikt nie wyrównał nam naszej krzywdy. Myśleliśmy, że po wojnie nastanie sprawiedliwa władza. Co roku oddawaliśmy wszystko zgodnie z planem, choć bywały lata nieurodzajne i ciężkie. Sąsiedzi śmiali się z nas: „Niech Szostakiewicz nie będą tacy solidni, bo w Zambrowie i tak socjalizm nie zbudują”. Sami pchali się do urzędów, wyjeżdżali do Ameryki, pisali podania z prośbą o umorzenie to kontyngentu, to podatku, to pożyczki.

Budowali szosę, zabrali nam kawał ojcowizny. Kawał naszej ojcowizny poszło pod zalew. Na naszej ojcowiznie postawili urząd pocztowy. Znowu byliśmy stratni. Gdy inni brali za siedliska po kilkadziesiąt tysięcy złotych, nam płacili po trzy złote za metr! Nie przyjęliśmy pieniędzy. A teraz już takiego na to gospodarstwo nabrali apetytu, że całkiem nas stąd chcą wyrzucić. Za rentę, za emeryturę, mówią. A niech tylko tu przyjdą, to ukropu nagotują i po ślepiach im poleją. Obaj

naczelnicy, Podedworny i Biały, tak się rządzą: temu plac pod willę, tamtemu na działkę. Rzucili na wsi swoje zagrody i przyszli do miasta urzędników zgrywać. Niech własne wille przeznaczą na cel publiczny, a nie naszą krwawicą będą się bogacić.

Szostakiewiczowie byli kiedyś jednymi z najbogatszych gospodarzy w Zambrowie. Chowali trzy konie, ośiem krow, kilkanaście świń, kilkadziesiąt owiec. Podczas wojny stracili cały dobytek. Spalili się. Trzeba było wszystko zaczynać od początku. Mogli się pożenić, powychodzić za mąż i swoje życie poukładać samodzielnie. Doszli jednak do wniosku, że wtedy rozbiłby rodzinne gospodarstwo. Bo co by z niego zostało, gdyby Feluś zabrał półtora hektara, Marianna — półtora hektara, tyle samo Jozik, Franuś i Piotruś. Szostakiewiczów w Zambrowie nie byłoby wtedy nawet widać. A gdy połączyli swoje wspólne 7,5 hektara z ziemią utrzymaną w spadku po rodzicach, powstało spore gospodarstwo.

Decydując się na życie w wolnym stanie, przyczynili się do upadku swego rodu. Na nich kończy się linia Szostakiewiczów.

Rodzinną schedę chcieli uchronić od pościartowania. Uprawiali ją resztkami sił. Bronili, jak mogli. Raz skutecznie odparli atak gminy, lecz obecnie prawie cały Zambrow jest za tym, by im odebrać ziemię za emeryturę.

— Będą mieli lżej — twierdzą nawet ich sąsiedzi, z którymi od lat żyli w wielkiej komitywie.

Jednak Szostakiewicz nie godzi się na takie rozwiązanie, bo ziemia jest ich największą świętością rodzową.

LICYTACJA ZA ŻYCIE

Walka Szostakiewiczów o ocalenie ojcowizny ma już wieloletnią historię. Dnia 11 sierpnia 1976 r. Urząd Miasta i Gminy w Zambrowie przesłał im pismo, w którym, między innymi, stwierdzał: „W celu podniesienia na wyższy poziom gospodarności ziemi, zwiększenia ładu przestrzennego i bezpieczeństwa poza-

rowego w gminach stosownie do uchwały Nr 59/76 Prezydium Rady dnia 14 maja 1976 r. został dokonany powszechny przegląd, a między innymi i w zakresie lepszego wykorzystania gruntów ornych i leśnych. Zespół ds. wykorzystania gruntów ornych ustalił, że gospodarstwo wykazuje niski poziom produkcji wskutek zaniedbania i wytypował przejęcia na własność Państwa trybie przepisów o wymuszonym zakupie w drodze licytacji lub w trybie przepisów o przepisaniu gospodarstwa za rentę i opłaty pieniężne.

Wobec powyższego Urząd Miasta i Gminy w Zambrowie zawiadamia, że w dniu 18 VIII 1976 r. w godzinach 8-15.00 do gospodarstwa obywateli przybędzie Zespół Specjalistów Rolnych, który dokona lustracji miejsca i zechce zapoznać się z warunkami i sposobem prowadzenia gospodarstwa.

Obecność obywateli przy lustracji Zespołu Specjalistów w tym godzinach jest obowiązkowa. Jednakże obecność nie wstrzyma czynności Zespołu”.

Cieżko to był dzień dla wszystkich Szostakiewiczów. Najbardziej przeżywał Feluś. Jak w ukropie zwała się Marianna, Franciszek ręką na to wszystko machał. „Niech nasze, więc i tak nam nie zabiorą. Pogrozą, pogrozą i sobie pójdą”.

Sąsiedzi Szostakiewiczów różnie mówili o tym wydarzeniu: jedni byli za wywłaszczeniem ich, drudzy opowiadali się za uhonorowaniem odwiecznego prawa własności. „To są przecież starzy ludzie — argumentowali — więc tak z nimi robić nie można. Od kiedy to urzędnicy gminy bawią się w grabarzy? Toż to wygląda tak, jakby chcieli Szostakiewiczów zlicytować za ich życie”.

W sarnie doszły rentowne, mniejsze, tarowe, wiczów kawałek w gminie wagi. Za Białą, p. Jest to pięknie sko Zambrow idealnie w. To pralepiej w. goni za dręczyc

o zabez
ników.
Dnia
Miasta
ziemię
jąc im
dowania
na wyp
11 tysię
— To
powiada
cze są
majątek
wyznaje
niedzy?
trze nie
chenek
ki chłoj
to na k
dziś co
gorzka
Pełna
mowa i
ka mias
wym.
Feluś:
teraz je
wiczom
Nacze
Tyle zie
Jeszcze
szym po
Feluś:
łem. Lat
później
sty; on
kukuryc
Nacze
Feluś:
i stać r
tydzień.
Nacze
cie do c
tar. Ka
sław 190
Feluś:
niedzy.
a mająt
nie odda
wy, ani
hektarza
dy nie k
ani my.
W sarn
się dosz
rentown
mniejsze
tarowe.
wiczów
kawałek
w gmini
wagi. Za
Białą, p
Jest to
pięknie
sko Zam
we ideal

reduta

PC

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

Feluś,
owizne,
dowie du
doly i
plan trz
cement i

o zabezpieczeniu emerytalnym rol-
ników.

Dnia 18 października 1980 r. Urząd
Miasta i Gminy oficjalnie przejął
ziemię Szostakiewiczów, pozostawia-
jąc im zaledwie hektar oraz zabu-
dowania. Zapowiedział też miesięcz-
ną wypłatę emerytury w wysokości
11 tysięcy złotych.

— To im się powinno opłacać —
powiadają ludzie, lecz Szostakiewi-
cze są innego zdania. Pragną swój
majątek uprawiać w całości. Feluś
wyznaje z goryczą: — Co mi z pie-
niędzy? A skąd ja wiem, czy poju-
trze nie przyjdzie płacić za jeden bo-
chenek chleba tysiąc złotych? Dopó-
ki chłopci mieli cukier z cukrowni,
to na kartki nie musieli czekać. A
dziś co? Uprawiają buraki i pija
gorzką kawę!

Pełna nieufności była również roz-
mowa Felusia z zastępcą naczelnika
miasta i gminy, Zygmuntem Bia-
łym.

Feluś: — Minister powiedział, że
teraz jest taka ustawa, że Szostakie-
wiczom ziemi zabierać nie wolno.

Naczelnik: — Właśnie że wolno.
Tyle ziemi nie dacie rady obrócić.
Jeszcze kilka dni temu stało na wa-
szym polu pięć dziesiątków.

Feluś: — Były, ale już sprzątną-
łem. Lato mokre jest, wszędzie są o-
późnienia. Dalej jest poie sperjali-
sty; on nie sprzątnął całego zagona
kukurydzy.

Naczelnik: — A jak ziemniaki?
Feluś: — Trzeba kopać motykami
i stać na desce, takie płoto. Przez
tydzień, dwa na pewno wykopimy.

Naczelnik: — Na przyszły rok ma-
cie do obrabiania tylko jeden hek-
tar. Każdy z was otrzyma co mie-
siąc 1900 złotych.

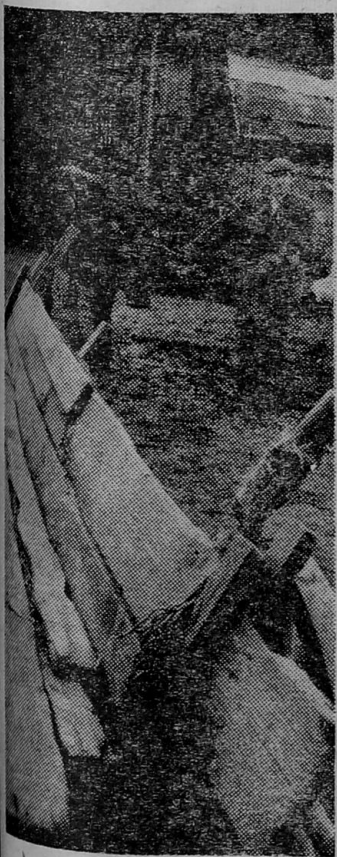
Feluś: — Nie chcemy żadnych pie-
niędzy. Nie chcemy od gminy
a majątek jest nasz i nikomu go
nie oddamy. Toż my ani jednej kro-
wy, ani świniaka na tym jednym
hektarze nie uchowamy. Nikt wte-
dy nie będzie miał żadnej korzyści:
ani my, ani kółko, ani państwo.

W samym Zambrowie można by
się doszukać wielu gospodarstw nie-
rentownych. Są one jednak o wiele
mniejsze: jedno-, półtora-, dwuhek-
tarowe. Gdyby każdy z Szostakie-
wiczów uprawiał oddzielnie swój
kawałek ojcowizny, na pewno nikt
w gminie nie zwróciłby na niego u-
wagi. Zastępca naczelnika, Zygmunt
Biały, powiada o ich majątku: —
Jest to duży kawał ładnej ziemi,
pięknie położonej, przy drodze i bli-
sko Zambrowa. Na ogródki działko-
we idealny!

To prawda, ziemia wówczas będzie
lepiej wykorzystana, lecz czy w po-
goni za łatwym efektem wypada
dreć starych, bezbronnych ludzi?

POCHYLENI KU ZIEMI

Feluś, odpowiedzialny za całą oj-
cowiznę, wielokrotnie myślał o bu-
dowie dużej, nowoczesnej obory, sto-
doly i nowego domu. Zapłacił za
plan trzy tysiące złotych, zakupił
cement i żwir. Cement się skwalił.



Żwir zarósł trawą. Eternit na dach
leży na dnie chwastów. Zabrakło
pieniędzy. Sąsiedzi doradzali sprze-
dać trochę ziemi; chcieli im nawet
drogo zapłacić, ale oni, Szostakiewi-
cze, zgodziliby się na wszystko, tyl-
ko nie na uszczuplenie gospodar-
stwa. Przecież co roku zamierzali się
budować i przywrócić przedwojenną
świetność swemu nazwisku. Wszy-
scy jednomyślnie powzięli taką de-
cyzję, bowiem w Szostakiewiczow-
skim domu tylko takie zapadają i
zapadały, lecz lata mijały i nikt z
nich nie sprostował, kiedy się po-
starzał i pochylił ku ziemi.

Feluś Szostakiewicz mówi: — Gdy-
by mi dali kredyt i materiały, to
postawiłbym wszystko w ciągu mie-
siąca.

Alé w gminie nie wierzą jego sło-
wom. Stawiają na specjalizację. My-
ślą o rozbudowie miasta, a ojcowi-
zna Szostakiewiczów tkwi jak cierni
w samym środku terenów rozbudo-
wy Zambrowa. Splachetkami włas-
nej ziemi obdarowali najlepszych są-
siadów, resztą obrabiają sami. Na-
brali już zaufania do nowych ma-
szyn rolniczych. Co roku wypoży-
czają je z Zakładu Usług Mechari-
zacyjnych, szczególnie kombajn, któ-
ry skosi, omłóci i nie nie ukradnie.
Zapisali się latem na kombajn ziem-
niaczany, lecz nadeszła chlapa i trze-
ba było przeprosić starą ojcowską
motykę.

Ciężkie w tym roku wykopki
— przyznaje Franciszek, ubrany w
poszarpany, sukienny płaszcz. —
Dziwnie zimny wiatr przenika czło-
wieka. Kciuki grabieją jak zima. I
deszczu tyle. Całe pole stoi w wo-
dzie. Głód chyba będzie, bo takiej
kary bożej żadne pokolenie Szosta-
kiewiczów nie zaznało.

Ich kuchnia najstarsze wyboje pa-
mięta, tu i ówdzie załatane gliną.
Okap pokrywają warstwy sadzy z
kolejnych lat. Takiego kalendarza
nie uświadczysz nawet w nowo-
grodzkim skansenie. Skrzynie z kar-
toflami, ustawione przy stole, służą
jednocześnie za krzesła i łóżka. Piec
chlebowy, z bezpośrednim wycią-
giem do komina, od wielu lat jest
już zupełnie wyzieblony. Kiedyś był
gorący i wypiekał piękny chleb. Dłu-
go nie mogli przyzwyczaić się do
kupnego, a zambrowianie mówili o
nich: „Szostakiewiczze przeszli na
chleb państwowy”.

PODANIA Z DZIADA PRADZIADA

Bogate są rodzinne wspomnienia
Szostakiewiczów, przywoływane
wspólnymi siłami i z coraz więk-
szym trudem. Franciszek i Jozik

siedzą blisko glinkowanego na nie-
biesko, poobijanego pieca, z które-
go ciepło bije na całą chałupę, Fe-
luś czegoś szuka w staroświeckiej
kredensowej szufladzie, Marianna o-
biera kartofle, a Piotruś śpi na ła-
dach w pokoju albo nuci starą
„Pieśń wygnańca”:

„Szumny wiatr wionął
Po pustym stepie
I śnieżną zamieć
W obłoki wzbili,
A biały tuman
Rwie się i trzepie,
Jak z huraganem
Rzesisty pył.
A na tym stepie
Pocztowa droga,
Jak harfa srebrna
Miota się nie,
A po tej drodze,
Z wichrami fali,
Pędzi kibitka
Na Sybir hen.
W kibitce widać
Postać młodzieńca
Smutne i dumne
Spojrzenia śle”.

Nie ma takiego Szostakiewicza,
który po wysłuchaniu tej pieśni nie
oparłby się zadumie nad przeszłością
rodu. Pielęgnowane z dziada pra-
dziada podania sięgają czasów na-
poleońskich.

Marianna: — Dziadek opowiadał
że gdy Napoleon siedział na Rosję, to
w rodzinie Szostakiewiczów było
sześciu braci. Jednego na Litwie poj-
mali Rosjanie i wywieźli na Sybir.
Ożenił się tam nawet. Widać, dobrze
mu się trafiło, bo bardzo szybko
wzbogacił się. Chował dużo owiec.
Odezwał się kiedyś do swoich, lecz
pozostali bracia nie napisali do nie-
go. Bali się cara, by się nie wydało,
że ktoś z rodziny walczył przeciw-
ko niemu.

Jozik: — Ojciec dziadka miał
czworo dzieci: Piotra, Jana, Marce-
lę i Zosię. A ojciec babci — czte-
rech synów: Jana, Leona, Domini-
ka i Franciszka. Najzdolniejszy był
Dominik. Jego syn poszedł później
na księdza. Franciszek lubił sobie
pociągnąć.

Franciszek: — Po co ten Napo-
leon tak sam w głąb Rosji szedł?
Marianna: — Bo głupi był. Prze-
cież wiadomo, że tam ciężka zima
jest co roku. Nawet wrona nie wy-
żyje. Już w grudniu wszystkie u-
ciekają do nas. A on, człowiek,
chciał żyć.

Feluś: — Z ciepłego kraju był, to
pewnie i nie miał pojęcia o takiej
zimie.

Franciszek: — Ale wojnę mógł
wygrać. Francuzi mieli broń na
pięć strzałów, Rosjanie — na jeden.

Marianna: — Ale nie wygrał. Jak
mróz wziął, to na saneczkach spod
Moskwy uciekał. Bezbożnik, konie
w kościołach trzymał.

Feluś: — Francuzi wszystkie ta-
kie. Jak wpadli do naszego młyna
to żytniej maki nie brali, ale pszen-
ną rozdrapali doszczętnie i tylko
każdy trochę w kieszeń wziął. Pra-
dziadek nie wytrzymał po takim o-
gołoceniu. Musiał młyn zlicytować.
Przez pewien czas miał go w swoim
posiadaniu Niemiec Feifer.

W Zambrowie mówiło się zawsze:
Komorowscy, Chęcińscy, Michalakow-
ie i Szostakiewiczowie. Byli su-
mienni, życzliwi i gościnni. Nigdy
nie stronili od gardliwych spraw.
Pradziadek Szostakiewiczów należał
do „Krakusów”. Gdy powstanie li-
stopadowe upadło, utulił się, aby car
nie wywołał go na Sybir i majątku
nie skonfiskował. Dokładnie ukrył
wszystkie książki i gazety, aby nie
wpadły w ręce Rosjan i by ich nie
zjadły myszy. Dom Szostakiewiczów
doszczętnie spłonął podczas II woj-
ny światowej. Spalił się także dREW-
niany kościół w Zambrowie, prze-
padły księgi parafialne, więc świad-
ectwa tamtych czasów żyją już tyl-
ko w pamięci.

Franciszek dokładnie pamięta, że
ojciec nie dał się zaciągnąć do car-
skiego wojska w 1914 roku. W kilka
lat później, w roku 1920, udał się
na front jako ochotnik. Furmanką
pojechał. Wiele zdrowia przez to
stracił i śmierć sobie przyspieszył.
Średnia długość życia Szostakie-
wiczów wynosiła ponad siedemdzie-
siąt lat. Tylko ojciec zmarł mając
zaledwie 58.

— Młodo zmarł — mówi Józef, do-
kładając do ognia gałązek — bo Pol-
ska była dla niego wszystkim.

Ojciec pozwalał im się bawić ple-
cenią z wizerunkiem konia z cho-
ragiewką. Domyślają się, że był to
chyba ich herb rodowy, gdyż rodzi-
ce bardzo szanowali ten przedmiot.
Prawdopodobnie zatruli się pod-
czas pożaru, jak inne rodzinne doku-
menty.

OSTATNI PŁOMYK

Zapada mrok. Przez zarośnięte
chwastami okno sączy się na zamb-
rowską drogę maleńkimi strzałkami
światło, jakby pochodziło z do-
gasającej lampy. W pobliżu siedzi-
by władz gminnych i obok głównej
arterii Zambrowa dopala się pło-
myk rodu Szostakiewiczów. Jego o-
statni przedstawiciel pogodził się
ze swoją starością. Nie mogą jed-
ynie przystać na niepewny los zie-
mi, którą dostali od rodziców, a ci
od dziadków i pradziadków, zapisy-
wanej rejestralnie, wybranianej przed
zakusami urzędów, starszej od dzi-
siejszych zambrowskich władz i o-
bywateli. Odżywa w nich dawny u-
pór. Jest to potężna siła, która trzy-
ma ostatnich Szostakiewiczów przy
życiu.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



obyczaje



przy ulicy Armii Czerwonej, gdy ka-
zała przyjść do kontroli po miesią-
cu czy później, choć do porodu by-
ło niecałe dwa tygodnie. Wzbudziła
niepokój dotyczący wiedzy i umie-
jętności łomżyńskich lekarzy. Miała
przecież wypisaną datę porodu, py-
tała mnie o nią, a potem skwito-
wała tym swoim poleceniem, bym
przyszła do niej za miesiąc.

Na takich rozmyślaniach upływa
mi pięćdziesiąt minut.

Trzęsiemy się obie, mimo flane-
lowych szlafroków; bez tasiemek,
bez zapięć, w czarno-granatowym,
nieprzyjemnym kolorze. Nawet nie
bawia nas stare, wytarte, tu i ów-
dzie prześwitujące kaptcie. Położna
bada nas. Dajemy salowej pol-
silvery. Robi nam lewatywę, pod-
czas której doznaję pierwszego
wstrząsu: używa do tego zimnej wo-
dy z kranu. Taki zabieg wspaniale
działa na hemoroidy!

Po tych wstępnych zabiegach ka-
za nam przejść na poródówkę. Do-
stajemy łóżka, jeszcze ciepłe po po-
przedniczkach. Ustawiamy przy nich
siatki i siadamy na kozetce. Nastę-
puje długie wypytanie o dane do
kwestionariusza — moje i męża.
Trzęsę się z zimna. Pani Teresa gło-
boko oddycha przy każdym skur-
czu.

Godziny mijają szybko. Proponują
nam śniadanie; dziękujemy. Chodzę
tam i z powrotem, by jakoś odpe-
dzić uczucie zimna. Nie pomaga.

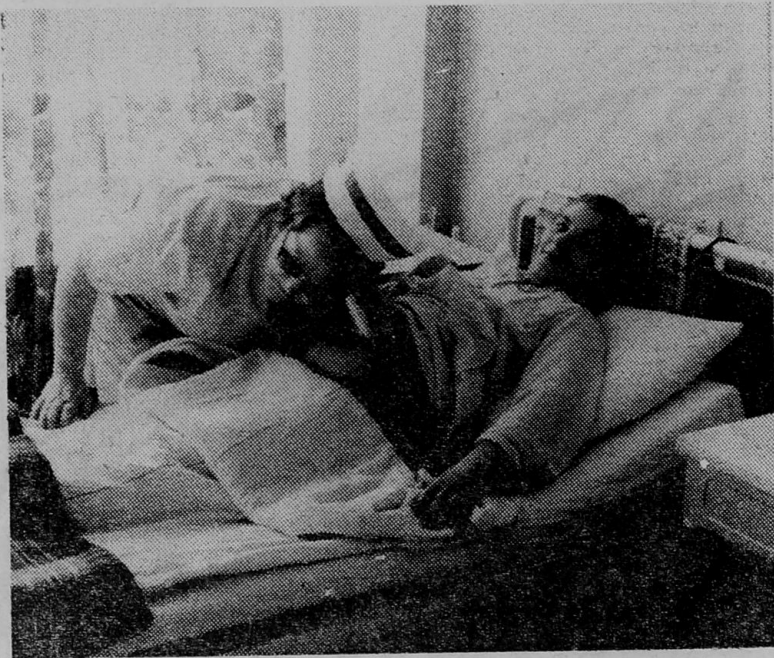
Na łózkach obok leżą przyszłe ma-
my. Jedna z nich nie wzięła z sobą
wyniku badania grupy krwi. Zasta-
nawiam się, czy nie powinny być
one wpisane — poza dowodem oso-
bistym — do książeczki zdrowia. Są
w niej za to wysokości zarobków!

Siostra wydzwaniała do domu je-
dzącej. Wreszcie telefon odbiera
dziecko. Mówi, że taty nie ma; jak
wróci, to przyniesie. Pani rodzi bez
wyników. Córkę. W domu ma syna,
więc jest szczęśliwa, mimo wcześ-
niejszych cierpień. Kobieta na skraj-
nym łóżku drze się wniebogłosy: —
Nie urodzi! Ja zemrę!

To jej czwarte dziecko.
Nagle ruch się robi na sali: —
Dzwoncie po lekarza! Jaki tam nu-
mer? Poród pośladowy.

Kobieta krzyczy. Lekarz wrzesz-
czy na nią, że nie ma żadnych wy-
ników badań. Jakies kłopoty z zapa-
leniem lampy specjalnej. Po długim
czasie krzyków rodzi się... czwarty
syn. Siostra szybko niesie dziecko
do oddzielnego kącika. Dziecko mil-
czy. Po niedługim czasie jednak sły-
chać słabe kwilenie. Żyje!

Wiele godzin chodzę po sali, od
kozetki do okna, patrzę na ulicę, na
drzewa, na zmieniającą się pogodę.
Jestem tak zajęta myślami, że popo-
łudnie przychodzi niespodziewanie.



Położna każe chodzić. Już ponad
dwanaście godzin marzę w tej ko-
szulinie. Wdrapuję się na łóżko i za-
wijam w prześcieradło; siostra mó-
wi, że właśnie ono jest do przykry-
cia. Więc kładę nagi tyłek na cera-
tę łóżka porodowego i przykrywam
się. Najpierw jest mi jeszcze zim-
niej od ceraty, a potem — chwilowe
uczucie ciepła. Lepiej jednak cho-
dzić. Między skurczami próbuję więc
zejść z tego łóżka-pułapki. Jest bar-
dzo wysokie, a brzuch znacznie
przeszkadza. Nikt mi nie spieszy z
pomocą. Na szczęście nie spadam. O-
koło osiemnastej wdrapuję się na
łóżko i już nie mam zamiaru scho-
dzić. Jest mi bardzo zimno, a skur-
cze powtarzają się coraz częściej.
Gdybym wiedziała, że to tak długo
potrwa, byłabym jeszcze w domu.
Gdyby na Południu działał choć je-
den telefon, znajdował się chociaż
postój taxi...

Pani Teresa mówi do siostry Lu-
sji: — Tak bym chciała urodzić przy
pani.

Ja też bym chciała. Siostra Lusja
jest bardzo miła. Powie kilka ciep-
łych słów, pogłaszcze po głowie.
Wyczuwam jej życzliwość i facho-
wość. Pani Teresa wymiotuje. Mó-
wi do siostry, że pewnie już nie-
długo urodzi. Ona odpowiada, że
wymioty nie występują u wszyst-
kich i ja mogę urodzić prędzej. Pa-
ni Teresa po chwili wchodzi na łó-
zko i już nie wstaje. Chyba zaczyna

się u niej akcja. Przewraca się na
boki, jak każe siostra Lusja.

Jest dziewiętnasta. Dobrze, że mąż
przypomni mi o zegarku. Szpital-
ny nie chodzi. Czuję pęknięcie pe-
cherza płodowego. Wołam siostrę.
Mówię: — Przepraszam... — Siostra
odpowiada: — Nie ma pani co prze-
praszać, to jest normalne. — Pomie-
dzy skurczami zapadam w półsen.
Siostra Lusja utwierdza mnie w
przekonaniu, że to już naprawdę
niedługo. Główka jest bardzo nisko.
a rozwarcie na 4—5 centymetrów.

Siostra Oleńka zmienia siostrę Lu-
sję. Ta mówi do zmienniczki: —
Może by tej pani dać kropiówkę, bo
już niedługo, a kobieta się męczy.
— Siostra Oleńka wzrusza ramiona-
mi. Nie rozumiem, o co chodzi. Bo
jeżeli mogę już rodzić, to po co te
dyskusje... przy moim łóżku.

Nagle pani Teresa krzyczy. Za-
czyna się poród. Jak przez mgłę wi-
dzę krzątanie przy niej. Słyszę: —
Oleńko, pójdziesz na „Pogodę dla
bogaczy”? Na ginekologii czynny jest
televizor.

Myślę, że nie zobaczę ostatniego
odcinka, ale nie mam czego żało-
wać. Pan Januszek opowiadał w
pracy, że jego znajoma widziała ten
film w Szwecji i że kończy się nie-
wyrażnie. Strzelanina i nie wiadomo
kto ginie.

Skurcze mam coraz silniejsze.
Szttywnieję i cierpnę, czuję mrówki
na całym ciele. Wzywam siostrę.
Mówi, że to jest normalne: ucisk
główny na spłot nerwów. Pytam,

czy mam oddychać normalnie, czy
przeponą. Mówi, że normalnie, czy
przeponą przyspiesza parcie. Oddy-
cham, jak każe. Po chwili zapadam
w sen. Budzę się z nową falą skur-
czów.

Na kozetce szepeczą jakieś panie.
Widocznie niedawno przyjechały.
Denerwuje mnie ten szept, bo pró-
buję na siłę zasnąć. Co kilkanaście
sekund czuję silne uderzenie wew-
natrz. Po jednym z nich — cisza.
Cisza jest także na sali porodowej.
Z szeptów na kozetce przy moim
łożku dociera do mnie informacja,
że siostra Oleńka jest na filmie.

Uderzenia są coraz silniejsze.
W technikum na zajęciach war-
sztatowych pracowałam w kuź-
ni, przy młocie pneumatycznym.
To uderzenie jest podobne; po-
rusza całym ciałem. Silny jest
także ból. Czuję, że małe chce się
już wydostać. Gryzę poduszkę, żeby
nie było słychać oddechu, który
przechodzi w jęk. Trwa to długo.
Długo. Skurcz za skurczem. Z prze-
rażeniem myślę o tym, że na sali
porodowej nie ma nikogo, tylko dwie
panie szepecą na kozetce. Trudno
muszę jakoś wytrzymać.

Gdy wraca siostra Oleńka, skur-
cze są jakby rzadsze. Każe mi się
przewrócić na wznak. Mówię: —
Zaraz, siostrze, bo jestem zdrewnia-
ła. — A ona z krzykiem: — Proszę
pani, pacjent też ma jakieś obowiąz-
ki wobec lekarza! Proszę się od-
wrócić natychmiast!

Dziwi mnie, że nie może chwili
począkać. Wygląda to na próbę od-
robienia straconego na filmie czasu.
Przykro mi, że tak na mnie krzy-
czy.

— O, rozwarcie jest, ale główka
wysoko, proszę pani — mówi.

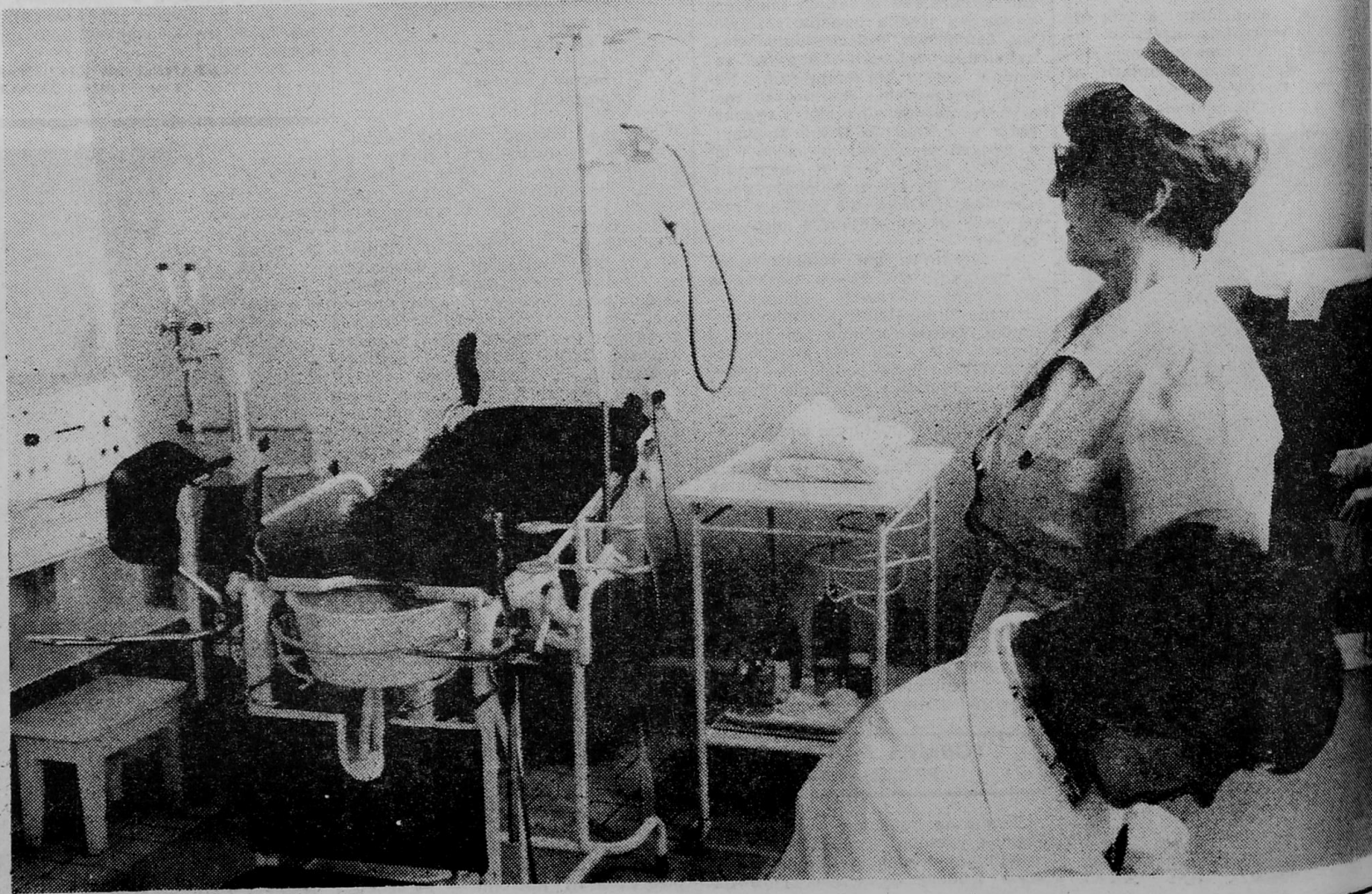
Znów się dziwię, bo siostra Lu-
sia była zdania, że cały czas głów-
ka jest nisko, tylko nie ma roz-
warcia. Widzę jednak, że siostra od-
pina część łóżka; przygotowuje do
porodu. Po chwili każe mi prze-
gdy przyjdzie ból. Mówi: — Musi
pani przeć trzy razy w czasie jed-
nego bólu. Ale ja nie czuję żadnego
ból.

— Niech pani prze — krzyczy sio-
stra — bo główka jest cały czas
nisko, tylko nie może przejść. —
niech pani nie zjeżdża w dół.

Jak nie zjeżdżać, gdy skóra ślizga
się po ceracie. Mówię o tym, wiem
po chwili podkłada mi jakąś szma-
te.

Skurcze mam słabe. Siostra pyta
mnie o nazwisko. — Iksińska — mó-
wię. — Pani Iksińska, musi pani
trzy razy przeć w czasie jednego
ból. Czy pani nie nie rozumie?

Nie rozumiem, dlaczego tłumaczy
mi jak dziecku, i w dodatku z ta-
kim wielkim gniewem. Wiem, że
trzeba robić, ale nie mam sił. Wresz-
cie sama zauważa, że skurcze ma-



penetracje



spiećcia



Lekarze łomżyńskich przychodni rejonowych — według kart godzin pracy — mają osobliwy talent: potrafią jednocześnie dyżurować w szkołach, przedszkolach czy żłobkach, odbywać wizyty domowe i przyjmować pacjentów na miejscu. Przy takiej umiejętności służby zdrowia, nadrabiającej własne bolesne braki kadrowe, możemy bezpiecznie chorować.

★

W Punkcie Sprzedaży Pomocniczej w Łazach (gmina Szeplietowo) z przypraw można dostać tylko pieprz. Nie zastąpi on ani soli, ani cukru. Pełni dobrej woli klienci Punktu pytają nas żartobliwie: — Jak długo można wszystko pieprzyć?

★

Spółdzielnia Mieszkaniowa w Wysockim Mazowieckim odsyła interesantów zgłaszających usterki do wykonawcy — Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Dobrze, że nie do stu tysięcy diabłów choć efekt byłby ten sam.

★

Handel nie śpi! Z nudów pieczętuje jajka datami ważności, a nie istniejące w sprzedaży ciastka dokumentuje wywieszkami z terminem przydatności do spożycia. Niech sobie klient poczyta, wspomina, pomarzy. Jeśli się zdenerwuje — tym lepiej, bo Polak zły — to głodny, a głodny zadowolony się byle czym.

★

Na strzeżonym przejeździe kolejowym pod Goniądzem unosi się tylko połowa szlabanu. Czy to udoskonalenie zostało wymyślone dla zmniejszenia ilości wypadków o połowę?

★

W dniu 25 października br. do sklepu spożywczego przy ulicy Buczyńska (obok Jubilera) przywieziono kilka pojemników z wędlinami: szynką, baleronom i kiełbasą po 120 złotych za kilogram. Na haki sklepowe trafiały tylko kiełbasa. Sprzedawczyni nie ugięła się nawet pod presją świadków dostawy i nie sprzedała żądanych wędlin. W porze zamknięcia sklepu (godz. 11.00) wyszły stamtąd ekspedientki — oraz „pani w czarnej skórce” — z wyładowanymi siatkami i torbami. To smutne, że w czasach kryzysu najtrudniej o solidarność. Za delikatne okazuje się tu nawet porzekadło, że najłatwiej pożywiają się ci, którzy stoją najbliższe zastawionego stołu.

★

Nasz przebój sezonu, łomżyńskie osiedle Jantar, bez reszty opanował warczący sprzęt zmechanizowany, który porusza się bez przeszkód w każdym upatrzonym kierunku, bez zważania na trawniki, chodniki czy ogródki, zdając się nie dostrzegać w ogóle dróg. Jeśli zamierzają one zerwać z cywilizacją i zniszczyć jej ogródki, zdając się nie dostrzegać w osiedlu — prosimy w imieniu mieszkańców o ich powiadomienie, ponieważ chcieliby się przygotować do zmiany ducha dziejów.

★

Budynek stojący na styku ulic Sikorskiego i Sawickiej w Łomży o-toczono rowem. Jego dorośli mieszkańcy wychodzą na zewnątrz przez okno i podwórce sąsiadów; gorzej mają niemowlęta, które przecież zżywają świeżego powietrza w wózkach. Rada autora rowu — Gdańskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych — aby zamknąć w mieszkaniu postarali się u prezydenta o nowe, jest dobra, ale nierealna, bo przeprowadzki należałoby dokonywać sprzętem latającym, po uprzednim zdemontowaniu dachu.



wózka. Zwalam się na łóżko i marzę o spokoju. Ogromnie cieszę się, gdy salowa przykrywa mnie kocem. Zapadam w sen z pięciogłosowym wyciem w uszach, dochodzącym z porodówki.

Około trzeciej przywożą na salę drugą położnicę (tę, która zajęła moje łóżko), szczęśliwą, że szybko urodziła. Trochę hałasu, spowodowanego obijaniem łóżka o stoliki, i znów trochę ciszy. Raz po raz budzą mnie dzwonki-sygnały z porodówki, informujące o przyjeździe kolejnego dziecka na świat. Wtedy z dziecięcego wybiega siostra i po kilkunastu minutach wraca z białymi zawiniątkami na salę noworodków.

O 5.30 siostra przynosi dwa termometry. O 6.00 karmienie. O 8.00 przed drzwiami zajeżdża wózek z kotłami i talerzami. Siostry z czerwonymi paskami na czepkach wołają: — Wstawać, kochane, na śniadanie! — Protestujemy: w nocy rozdziłymi, nie mamy siły. — W nocy? — odpowiadają — to już możecie chodzić. Podają jednak na stoliki. Otrzymuję na głębokim talerzu bułkę, kromkę chleba grubości dwóch centymetrów, kostkę masła (2,5x3x0,5 centymetra) i 4 centymetry kielbasy. Wstrząsa mną ten widok.

— Kubezki panie mają? Mówimy, że nie. Okazuje się, że nóż też lepiej było przynieść z domu. Na moim stoliku zjawia się duża łyżka i widelec z trzema zębami. Jestem szczęśliwcem, bo pozostałe panie o-

O 12.00 przynoszą mi dziecko. Spi. Ma ładne, różowe ciążko, na główce włoski z resztkami krwi. Nie chce pić. Nie umie. Dzieci zabierają o 13.00. Idę do łazienki, aby się umyć. Cztery umywalki. Tylko przy jednej czynny kran. Myję to, co można myć tak wysoko. Kobiety chodzą po korytarzu. Trzymają się za brzuchy. Najbardziej bolą szyte miejsca. Ciągają szwy. Pan Stasio z portierni raz po raz śmieśnie przekręca nazwiska wywoływanych kobiet. Mężowie przysyłają płyny, owoce, ciasta. Położnice proszą o kubki, noże, ściągacze do pokarmu, podpaski, ręczniki. Nie wolno z sobą wiać do szpitala, a wszystko trzeba mieć.

Na obiad ziemniaki z kurecznikiem. Jakoś pacham tym trójzębem. Nie jest to gorące danie. Kapuśniaku nie jem. I tak boli brzuch. Leżąc obok pani Jadwiga mówię, że i tak dobrze nam dają jeść, bo gdy jej mąż leżał w Białymstoku i miał w czterech miejscach pękniętą szczękę, to przynieśli mu kotlet schabowy. Ale po godzinie zamienili na kwaśne mleko.

Po obiedzie jedna z chodzących przynosi mi jabłko, pomidory i brzoskwinie od męża. Dzieci płaczą za ścianą. Znowu idę do łazienki. Za drugimi drzwiami jest prysznic i kran z brodzikiem; żółty, jak to w Łomży. Najweselejsze jest jednak to, że kran nie działa. Drugiej łazienki nie ma. Jak tu się umyć do-

kładnie? Okazuje się, że są słolki. Napelnia się je wodą z czynnego kranu i polewa sobie co nieco nad basenem. Dobrze, gdy która wzięła z domu gazę albo watę. Tak mija mi czas od karmienia do jedzenia.

Przed 18.00 kolacja: kromka chleba, identyczna jak na śniadanie, kosteczka masła, zupa mleczna z ryżem, 4 centymetry kaszanki. Jem chleb z masłem rozsmarowanym przy pomocy łyżki. Kaszanki nie rusza żadna z pacjentek. Pani Bożena pożyczka sobie litrowy słoik zamiast kubka. Pani Irena nie pije nic.

Późny wieczór. Drzwi na korytarz otwarte i lampa świeci prosto w oczy. Co chwila dzwonki z porodówki. Już podobno nie ma miejsce. Dziś urodziły się dwojaczki: chłopcy. Jeden zmarł. Mówią, że uciekła mu pepowina, bo za krótko uciegli. Kobieta ledwo żyje po cesarskim. Od wczoraj była na przedporodówce, pomimo że wody jej odeszły.

Dzieci wciąż płaczą. Stale trzaskają jakieś drzwi. Siostry mają zwyczaj „puszczania” ich za sobą. Podskakuje przy każdym takim huku. O 22.30 ktoś woła — Telefon! Z Warszawy! — Telefon chyba z Warszawy — powtarza siostra siostrze i wszystkie pielęgniarki od dzieci biegną na ginekologię. Wysłuchujemy półgodzinnego koncertu niemowląt.

DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM
NUMERZE

Fot. GABOR LÖRINCZY

JOANNA ZIMNA

rodziłam
w „Pogodę dla bogaczy”

Mówię, że chyba mi nie pakuje zakładu. On na to, że nie mam czego bać, bo wszystkiego mi nie brakuje. Boli bardziej niż w czasie ciąży; a mówili, że zycia się nie czuje.

O 23.00 salowa przyciąga wózek z dzieckiem na niego wejść. Jest wyjątkowo spokojna. Wrapię się w ogromnym trudem, po czym jeszcze leżę na zatłoczonej porodowej. Wszystkie łóżka są zajęte. Na moje wchodzi pani w kołnierzu. W ogóle nie dostała kąpieli. Moje kąpieli zakłada inna przybyłych. Najbliżej mnie jakaś młoda dziewczyna. Siostra Oleńka krzyczy na nią, by wyśpiewała na jej pytania. Dziewczyna nie pamięta daty ślubu. Siostra jest wyraźnie oburzona. Wzrozi mnie za ścianę. Leżę tam północy.

★

Ładna się niedziela, 24 sierpnia. Godzina 0.10. Salowa przynosi mi na położnictwo, objając kciukiem ścianę. Każde uderzenie rzuca mi ból. Przy dyżurce wyśpiewa mi siłę wieku położyła daje mi kciuki i poduszki. — Co to, na porodówce nie mają podkładek? — rzuca na łóżko dwie. Jedzie dalej. Mijamy wózek, na którym leżą ułożone, leżą jedno przy drugim płaczące dzieci. Pora ostatniego karmienia.

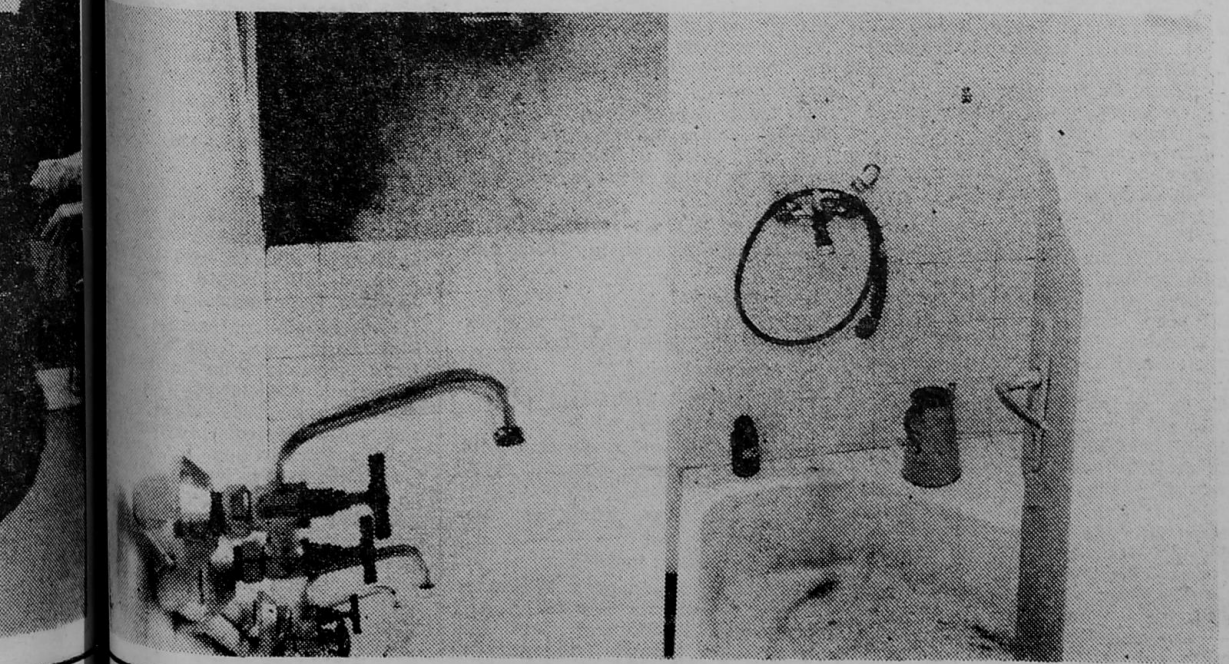
W sali cztery puste łóżka. Na nich salowa rzuca poduszki, podkłada płócienną szmatę, wyściela spode mnie, i każe mi się wstać na nią. Jest dużo niższe od

trzymują tylko łyżki. Po dziesięciu minutach przynoszą dwa litrowe kubki kawy z mlekiem: dla mnie i pani leżącej z drugiej strony drzwi. Pozostałe nie będą dziś piły. A pić się chce, i to bardzo. Rozrywam bułkę, wkładam w nią masło i rozniatam. Na kielbasę nie mogę patrzeć. Chętnie zjadłabym kromkę z białym serem.

Przychodzi lekarz, czyta temperaturę i pyta, czy zbyt obficie nie krwawię; ten sam, który mnie zszyczał. Skąd mogę wiedzieć, czy to jest obficie, czy nie. Lecz on przechodzi nad tym do porządku dziennego. Po przeczytaniu temperatur następnym pacjentem idzie dalej. Oł, cały obchód. O 9.15 siostra z dziecięcego wypada na korytarz z pytaniem, która godzina, i mówi: — Ojej!

O 9.30 wynoszą dzieci do karmienia. Odwiedza nas pani z sąsiedniej sali. Pyta, dlaczego nie wstajemy. — Nie mamy kapci ani szlafroków — odpowiadamy. — To trzeba się upominać — mówi wzburzona. Po chwili wraca z trzema szlafrokami. Kapię przynosi siostra. Ładniejsze trochę niż na porodówce. Przede wszystkim — całe.

Piszę kartkę do męża. Proszę o kubek, nóż, jabłko i pomidory. Przychodzi o jedenastej ze słoikiem kompotu z wiśni. Idę do niego długim korytarzem. Patrzymy na siebie z odległości dwóch metrów. Mówię: — Już w nocy wiedziałem. — Wracam do pokoju i mieszam kompot z zimną wodą z kranu. Jak dobrze, że wreszcie można coś wypić.



Proces odbył się w trybie nagłym, niemal administracyjnym, zgodnie z dawnym niemieckim ustawodawstwem, przewidującym za wykroczenia polityczne karę twierdzy. Mógł zobaczyć się z Zochą. Spotkanie odbyło się w pomieszczeniu sądu. Dotykał jej ręk i cieszył się, że jest naprawdę. Obiecała walówki dostarczać przez Oszczygła. Po wyroku zmienił się również jego status. Przeniesiono go do komuny, spacer przedłużono do godziny, na który wychodzili razem. Dobę dzielił na czas od spaceru do spaceru. Zaczął wykłady dla siedzących z nim robotników. Uczyli się chętnie, a prosta ich bycia łagodziła jego wewnętrzne komplikacje.

W połowie odsiadki wyroku wezwano go do prokuratora. Młody, w miarę ironiczny, po krótkiej wymianie zdań zaproponował, w zamian za darowanie reszty kary, podpisanie deklaracji lojalności. Wspomniawszy, że na tej zasadzie wypuszczono Andrzeja Krupę, Targowiak odmówił. Zwyczajnie, bez podnoszenia głosu.

W słoneczny dzień lipca zwolniono Adama z więzienia. Poszedł na samotny spacer po parku Kościuszki. Dziewczyny siedziały w krótkich spódniczkach, bezkarnie mogli patrzeć na ich nogi. Postanowił odwiedzić Oszczygła, zanim wyjedzie do Warszawy. Przy jego pomocy spotkał się z posłem Wieczorkiem. Wiadomości było dużo. Kongres Centrolewu w Krakowie stał się demonstracją sił całej lewicy. Na Śląsku przyłączył się do niej Korfanti. Wypadki wzbudziły umysły, obudziły kraj. Mnożyły się wiece, demonstracje, protesty. Coraz głośniejsze mówiono o represjach i procesie. Prognozy nie były więc najlepsze. Podobno chciano zwołać posiedzenie Komitetu Centralnego PPS-Lewicy. Myślano nadal o zjeździe.

Wieczorem wsiadł do pociągu. Nękały go niewesołe myśli. Przepadł rok akademicki, a zapewne i całe studia. Przyszłość? Żadna. Zawodowy rewolucjonista? Nie nęciła go ta perspektywa.

W Sosnowcu weszła do przedziału młoda kobieta, zdjęła płaszcz, uśladła, skrzyżowała nogi, wyjęła „Ilustrowany Kurier Codzienny” i zaczęła czytać. Nie mógł od niej oderwać oczu. Patrzył tak natargowicie, że odłożyła gazetę.

— Chciał mi pan coś powiedzieć?
— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że znam panią.

— Mnie? Pan żartuje?
— Na imię pani Maria?

— Tak, to prawda, i co jeszcze?
— Wczoraj była pani w parku Kościuszki z nieco starszą koleżanką.

— Tak, ale pan z nami nie rozmawiał.

— Zapamiętałem natomiast pani imię.

— Doprawdy? Do czego to wszystko prowadzi?

— Znajomości wagonowej, jeżeli pani pozwoli.

— Nienajgorszy pomysł, zwłaszcza że mamy długi wieczór i nikogo w przedziale.

Adam zasunął firanki, przygasił światło, usiadł obok. Nie miała zamiaru się bronić. Na stacjach przedstawiali szukać zbliżenia, ale gdy pociąg ruszał — byli znowu przy sobie. Nie wiedział, kiedy usnęła z głową na jego kolanach. Nad ranem, gdy zbliżali się do Warszawy, obudził ją szepcząc: Mario.

Roześmiała nieco przekornie i powiedziała: — Kiedy się spotkamy, pamiętaj, że na imię mam Zochę. Wszystko inne było naprawdę.

Zocha z Jolką nadal mieszkali na Ciepłej. Wziął dorożkę. Było tak wcześnie, że miał nadzieję wszystkich zastać w domu. Otworzyła mu drzwi Jolka.

— Sama jesteś?

— Jak widzisz. Pozwolisz, że się ogarnę?

— A Zocha.

— Wyjechała. Miała zamówiony pensjonat w Jastarni i nie mogła czekać.



Usiadł. Poczł się strudzony i niepotrzebny. Jolka włożyła szlafrok, poprawiła przed lustrem włosy.

— Z kim pojechała?

— Nie znasz go. Taki Stefan z okręgówki. Wynajęli na Koszykowej kawalerkę.

— Dawno?

— Chyba sześć tygodni temu.

— Dlaczego nie pisałaś?

— Ja? Po co?

— Janek siedzi?

— Tak. Jeszcze ma dwa lata.

— Boniecki?

— Wyjechał do Paryża.

Zapadło milczenie. Chciał o coś zapytać, ale nie potrafił. Domokrąca wykrzykiwał: „Sprzedaję, kupuj!” sasiad bił żonę; krzyki, wrzaski kobiet i dzieci. Jola wstała i zakreśliła się przy kuchni. Po chwili podała jajecznicę.

— Jesteśmy z tobą, Adam, jak dwa psiaki, wyrzucone na ławicę piachu.

— Nie masz nikogo?

— Nie muszę. Nie byłeś dla Zo-

— Takich spraw nie trzeba rozumieć. One są. Mówiłam z nią. Nie widziałam innego wyjścia.

— Z czego?

— Między wami dawno się skończyło.

— I tak, i nie. Nie tak łatwo to określić. Ludzkie sprawy są poplątane. Wszystko jest razem. Rozciąć? Boli. Nie masz jakiegoś pokoju, kawalerki?

— Nie myślałam o tym — zaczęła wstała — zrobię ci coś do jedzenia. Jedno ci tylko powiem: przy tobie Zocha czuła się jak siostra miłosierdzia.

Jolka miała rację. Cecha nie będzie siostrą miłosierdzia. Tylko wyjazd do ojca pozwoli oderwać się od wszystkiego i wrócić do siebie.

Pociąg do Łomży tłukł się długo. Brudna stacyjka, na której wysiadł, nie zmieniła się od czasów szkolnych. Ruszył wzdłuż parku Kościuszki, Mierniczkowa. Wszedł po znajomych schodach, zapukał. Otworzył ojciec. Żadnego zaskoczenia. Stary Targowiak nieco się postarzał,

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

ski idealnym partnerem. Sobek jestes i chodzisz własnymi drogami.

— Jak każdy.

— Może. Co teraz będziesz robić?

— Zastanowię się. Należy gdzieś zamieszkać.

— Gdyby nie języki, mógłbyś zatrzymać się u mnie. Jesteśmy kumple nie od miłości. Sądzę, że Cecha mogłaby cię przyjąć.

— Co ci przychodzi do głowy?

— Nic. Sama nie wiem. Ze mną nie zostaniesz.

— Zanim coś postanowię, wyjadę do Łomży. Spotkam się z ojcem. Tymczasem rozejrzę się za jakąś kawalerką. Pozwolisz, że chwilę się zdrzemnę?

Kiedy się obudził, Joli nie było. Ubrał się i wyszedł. Wpadł do lokalu na Żelaznej. Był pusty. Pojechał do Dąbrowskiej. Nie zastał jej. Odszukał Cechę. Rzuciła mu się w objęcia i długo płakała. Chyba z litości. Pogłodził ją po włosach i zapytał, co słychać. Komitet Centralny, zjazd? Tak, wiedział.

— Martwisz się? — spytała nagle Cecha.

— Trochę. Byłem przywiązany, sama rozumiesz?

zgarbił, nawet zmalął. Podali sobie ręce, weszli do gabinetu, usiedli.

— Może wymyjesz się, zjesz coś, odpoczniesz?

— Zjadłem na dworcu — skłamał, bo nie chciało mu się ruszyć. Myślał o tej chwili wielokrotnie i wyobrażał ją sobie właśnie tak, zwyczajnie.

— Długo u mnie zostaniesz?

— Kilka dni, zobaczę. Zocha odezła.

— I co teraz?

— Muszę się urządzić, zamieszkać, u ciebie chcę odpocząć.

— A potem?

— Zamierzam skończyć studia.

— Wrócisz do polityki?

— Tak. Nie mogę teraz odejść. Moralnie nie mogę. Sprawa etyki, układów, diabli wiedzą czego.

— Sądzisz, że gra warta jest twojego życia?

— A ty myślisz inaczej.

— Tak, myślę inaczej. W Polsce nie ma miejsca na rewolucję. Ani my nie jesteśmy do niej zdolni, ani sąsiedzi nam pozwolą. Alternatywa

mógł być Piłsudski, lecz nie jest. Co pozostaje? Czekać na nowy układ sił w Europie i w Rosji.

— Czekaj się w więzieniu.

— Pozory. Wszystkie pozory, synu. Chodź koło spraw, których nie ma. Polityki także nie ma. Rozmawiaj inni, za ciebie i za siebie. Rozmawiaj na odstras, tylko tyle.

Nazajutrz zadzwonił do Reginy. Zaprosiła go do siebie. Zmieniła się, mniej, niż przypuszczał. Była nadal szczupła, może bardziej kobieta. O gromne oczy, delikatne, nerwowe ręce. Nadal chodziła z wysiłkiem. Skarżyła się, że nie odpowiedział na żaden jej list. Nie była agresywna. Przeciwnie: bezbronna i słaba. Na pewno mógł ją uwieść, lecz nie chciał. Może i ona wzdrygała się przed myślą nalezienia do kogoś, kto nie pisze i nawet nie myśli o niej. Zapewne przyzwyczaiła się być sama, mimo że nie potrafiła zrezygnować z życia, którego nie w pełni doznała. Wyszli po godzinie.

Ojciec pewnego dnia zapowiedział, że będzie u nich na obiedzie jego dobra znajoma, nauczycielka ze szkoły technicznej dla dziewcząt z Sosnowca. Gdy Adam otworzył drzwi — zdumiał się. Stała przed nim dziewczyna z pociągu Katowice-Warszawa. Pierwsza oprzytomniała Zocha: — My się znamy. Pamięta pan? — Usiedli do stołu. Wino złagodziło sytuację.

— Poznałam twojego syna, gdy wracał z Katowic. Rozmawialiśmy. Nawet nieco kłóciłyśmy się. Kto mógł pomyśleć, że spotkamy się tutaj.

Obiad minął w miłej atmosferze. Zocha została na noc. Była kochanką ojca. Adam nie mógł usnąć. Nie mówiąc nic ojcu wyszedł na spacer. Odwiedził dr. Czarneckiego. Rozmawiali o Kongresie Centrolewu w Krakowie. Dziwili się, że do takiego stopnia zbliżyły się ich poglądy. Czarnecki zaproponował Adamowi udział w wiecu. Miał przyjechać Dubois. Targowiak odmówił. Nie chciał ryzykować.

Wracał do domu wolno. Zaczęła go prostytutka. Młoda, niemal podłotek. Łatwo poznał: córka woźnego z gimnazjum.

— Co ty tu robisz?

Zawstydzona się, lecz patrzyła wyzywająco.

— Uciekłam z domu. Ojciec mnie bił i gwałcił. Brat również. Mieszkam u koleżanki. Zaczęłam tyłko młodych chłopców. Zmieniłeś się. Skąd mogłam wiedzieć?

— Dlaczego się nie uczysz?

— Jak? Zresztą po co? Z koleżanką sobie pomagamy. Wróciłeś do Łomży?

— Wyjeżdżam. Chcesz kilka groszy?

— Stąd niedaleko. Jak będzie u K

ry gość, chwilę poczekamy.

— Nie o to chodzi. No weź.

trzymaj się mała.

— Też mi frajer — powiedział

z pogardą, lecz wzięła.

Nazajutrz ojciec poszedł do pracy. Adam przy śniadaniu spotkał się z Zochą. Jakiś czas milczeli, unikali spojrzenia.

— Przykro mi, Adam. Bardzo lubię twojego starego i nie chciałam mu robić przykrości. Tak się czasami wszystko płacze. Myślałam, że zadzwonisz. Nie udawaj obrażonego.

— Wczorajszy wieczór nie był dla mnie łatwy.

Adam napisał do ojca list, spał, wstał, pożegnał z Zochą i wyszedł. O jedenastej trzydzieści siedział już w pociągu; dusznym, prawie pustym, leniwie wlokącym się w kierunku Łomży.

Wieczorem wpadł do Joli i został u niej na noc. Pokazała mu zakurzone „Kurierze Warszawskie” i kawalerki. Ale to była sprawa na jutro. Z Jolką wypili i położyli się do łóżka. Była naturalna bez fałszywej miłości.

Konferencja centralnego aktywnego PPS-Lewicy potwierdziła wybór Adama Targowiaka na stanowisko sekretarza i podjęła uchwałę o zwrocie w roku 1931 nadzwyczajnego zjazdu dla przyjęcia programu i wyboru nowych władz. Sytuacja polityczna nie była łatwa. Reakcja władzy na kongres Centrolewu była bezwzględna. Akcje zjazdową wypadało prowadzić w atmosferze represji. Była to ryzyko delegacji partii, które dobiegły zresztą jak wszystkich. Targowiak postawił ten problem w rozmowie z Janem, sekretarzem KW.

Tobie,
wysłana
ujadaniem baterii.
językami bagnetów
pokasana pstro —
jak łachman postrzępiony
czerwonej materii
od tryumfalne
O! —
O zwierzęta!
O dziecienna!
O wielka!
O straszna!
Jakim imieniem cię jeszcze nazwali?
Jaką ukąszes jutro swą twarz nam?
(...)
A jutro
Błażenny
na stopach się wzbije,
odrzucając błagalnie wściekłą grę łuf.
Twoich sześciociałówek wieprzowate
ryje
podkopią tysiąclecia Kremlów.
„Sława” —
chrypi w morzu kotłującym.
Gwizd syren ostry krwią trwogi
ociekł.
Ty ślesz marynarzy
na krążownik tonący,
tam, gdzie zapomniany
miauczał kociak. *)

7 listopada 1917 roku robotnicy Piotrogradu zdobyli liczący 1050 pokoi Pałac Zimowy — siedzibę Rządu Tymczasowego. O dniu tym od 63 lat świat mówi, jako o początku Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Historycy są, jak wiadomo, ludźmi porządkującymi fakty z przeszłości. Siódmy listopada jest tylko datą wybuchu tego co narastało latami, co wstrząsnęło — utrwaloną przez tysiąclecia — organizacją społeczeństw. Trzeba było wielkiego poświęcenia rewolucjonistów, żeby rozwój ludzkości ruszył w kierunku wytyczanym przez zwolenników ideologii, którzy jeszcze w roku 1846 — nie mieli nic — poza maleńką broszurką wydaną na liwym papierze pod tytułem „Manifest Komunistyczny”.

Następowały przeobrażenia nie spotymane dotychczas w praktyce politycznej. Rodził się nowy człowiek, rozpadły monarchie, sojusze, układy. Powstawały państwa; wśród nich odrodziła się Polska. Rewolucja nie ominęła ani metropolii, ani wiosek.

Bolszewicy zdobyli władzę. Dokonałi tego — co zdaniem Lenina — było w całym procesie walki najłatwiejsze.

— Teraz mamy przed sobą etapy najtrudniejsze. Utrzymać i utrwalić nasze zdobycze! Oto zadanie dla partii bolszewickiej, kierującej ludźmi pracy. Może ono być wykonane tylko poprzez włączenie szerokiej masy w proces budowania i rządzenia państwem!

Tak trafili — mówiąc słowami poety — na front rewolucji: prości ludzie wyrwani ze wsi, miast, miasteczek.

Po klęskach armii rosyjskiej na terenie Prus, w roku 1915 wojna przeloczyła się na wschód. Carska administracja wywoziła z ziem Królestwa Polskiego szkoły, szpitale. Zakuwano teatry, fabryki, przedsiębiorstwa, redakcje. Polnymi drogami ciągnęli chłopci wrzuciwszy na nielawe wozy dorobek całego życia. W pociągach — na pakach, gdzie załadowano maszyny z fabryk, spali robotnicy.

Półtora miliona ludzi uciekało przed pierwszą, niosącą po raz pierwszy zagładę tak wielkim masom ludzi, wojną. Zostawali po drodze w Piotrogradzie, Moskwie, Zagłębiu Donieckim, Odessie. Trafiali na daleką Syberię. Spotykali tam Polaków — żołnierzy w carskiej służbie. — Jęńców — rodaków z armii austriackiej, pruskiej. Bliskich — ze środowisk politycznych. W roku 1917 na terenie Rosji przebywało ich około dwa i pół miliona (nie licząc uchodźców od pokoleń). Ludzi o przekonaniach od bielej — po czerwonej.

Do naszych dni zachowało się mniej niż osiem tysięcy życiorysów. Wspomnień o Polakach — uczestni-



Kadr z filmu dokumentalnego o Leninie nakręconego w Moskwie 1 maja 1920 roku. Tuż za Leninem stoi Polak — Stanisław Budzyński.

kach październikowego zrywu i wojny domowej. Żołnierzy czerwonych pułków. Organizatorów władzy radzieckiej. Wśród nich jest około dwustu życiorysów — spisanych w miarę dokładnie — ludzi pochodzących z ziemi łomżyńskiej. Oto czerzy z nich, składające się na zbiorowy życiorys rewolucji.

Bronisław Makowski urodził się w 1881 roku w Łomży. Swoje wspomnienia spisał po latach, w roku 1965.

„Od 1916 roku mieszkalem — w związku z wojną — w Rostowie nad Donem. Tam zostałem w maju 1917 roku powołany z mobilizacji do wojska i wcielony do pułku rezerwowego w Nachoczewaniu koło Rostowa. Po trzech miesiącach ja i wielu innych żołnierzy podczas ćwiczeń na poligonie zostaliśmy aresztowani za odmowę wykonania komendy i pod zarzutem uprawiania propagandy rewolucyjnej. Aresztowanie wywołało oburzenie wśród żołnierzy i prawdopodobnie dlatego zwolniono nas i wysłano naszą kompanię poza kolejnością na front. (...) Miałem za sobą przeszłość rewolucyjną z 1905 roku, byłem carskim więźniem X Pawilonu Warszawskiej Cytadeli. Zabrałem się teraz energicznie do pracy. Z Winnickiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich otrzymałem mandat upoważniający do czynnej walki z nadużyciami i spekulacją, rabunkiem, pijactwem i innymi objawami tego typu. (...) Po ogłoszeniu dekretu o demobilizacji żołnierze zaczęli powoli się rozjeżdżać. Ja z innymi po-

jechałem do Rostowa. W 1919 roku wyjechałem razem z rodziną do Władykaukazu, a w 1922 wróciłem do Warszawy.”

Trzeba było jeszcze wielu dni zanim spokój wrócił na tę umęczoną ziemię. Najpierw bowiem stary świat śmiał się z chłopów-ministrów. Potem zaczął grozić. W końcu zaczął się bać. Ten strach starego świata zrodził interwencję.

Długa była droga do rewolucji Teofila Włostowskiego — chłopca ze Starego Kaczyna. Najpierw szukając chleba trafił do warszawskich fabryk. Tu rozpoczął działalność w kółkach robotniczych, później w SDKPiL. Po aresztowaniu zesłano go w roku 1896 na Syberię. W Irkucku stał się żołnierzem rewolucji.

„W 1914 roku do Czyty przyjechał Bielawski (stary wygnaniec polityczny, dwukrotnie zesłany na Syberię w 1878 i 1886) i zabrał mnie na Kolej Amurską. Zostałem kasjerem na stacji Zilowo (...) Po wybuchu rewolucji 1917 roku wszyscy ożyli. Pierwszego dnia urządzono manifestację, wygłaszano przemówienia, udano się do osady (...) Polecono mi zapisywać nowych członków partii (...) — z początku przychodziło po parę osób, lecz nie wszystkich zapisywałem. Uważałem, aby do partii wstępowała świadomi członkowie i mniej świadomym dawałem broszury, objaśniając im istotę socjalizmu. Kazalem im czytać i dopiero później zapisywać do partii. Robotników mało piśmiennych (i nawet zupełnie analfabetów) jako od-

powiedni element, chętnie przyjmowałem, zaś do inteligencji byłem surowy”.

Włostowski zmarł w Moskwie w 1930 roku.

Karol Kadłubowski ze wsi Zaremba urodził się w 1885 roku. Był szewcem — cholewkarzem. W Piotrogradzie został listonoszem. W dniach rewolucji stał się komisarzem Piotrogradzkiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, później przewodniczącym CKW Związku Zawodowego Pracowników Poczty. Nigdy nie wrócił do kraju. Zmarł w Moskwie w 1961 roku.

„Oto oblicze niektórych spośród strajkujących, którzy powrócili do pracy (...) Inny typ. Z przekonania — prawicowy eserowiec. Wchodził mi w tonem pouczającym:

— Wiecie dobrze, że zawsze byłem człowiekiem uczciwym. Stałe twierdziłem, że bolszewikom nie powieście się. I teraz tak twierdzą.

— Więc dlaczego przychodzicie, by pracować z nami?

— Zostałem zwyciężony, lecz nie przekonany — odpowiada.

(...) Trzeci przychodzi i oznajmia, że jest kadetem. Powiada, że i teraz jest członkiem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Peterhofie.

Co robić z taką anomalią polityczną?

Meldujemy o tym komisarzowi i za jego zgodą przyjmujemy kadeta do pracy jako inżyniera-specjalistę”.

Życiorysy rewolucji tworzyli: Szczepan Jabłoński — felczer, byli żołnierze armii carskiej, Stanisław Gutowski i Adam Soborowski, którzy później służyli w Czerwonym Pułku Warszawy, Antoni Mościcki — zastępca dowódcy plutonu Baterii Szkolnej Północno-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego.

Kroniki Października mówią też o Bolesławie Majewskim — robotniku kolejowym, dowódcy rewolucyjnego pociągu pancernego, o Stefanie Motryczu — słuchaczu Zjednoczonej Szkoły Czerwonych Komandorów. Teofil Herman pełnił obowiązki sędziego wojskowego, Adam Jonczyk — komisarza CzK w Nikolajewie. Cyprian Wadołowski — pracował w Wydziale Politycznym i Polskiej Armii Czerwonej.

Ciekawa jest historia rodziny Gadowskich; w której ojciec był generałem carskiej armii, natomiast dzieci, Aleksander i Helena, służyli rewolucji. Aleksander zginął w kwietniu 1918 r. na ulicach Moskwy w walce z anarchistami, Helena pełniła obowiązki sekretarza kancelarii sztabu w Rewolucyjnym Czerwonym Pułku Warszawy.

Rewolucji służyli także: Bolesław Majewski z Grajewa, Florian Magil z Brzózki koło Kolna, Jan Glazer, Stanisław Głębocka-Demkowa, Jan Szarek ze Szczuczyna. Z byłego powiatu szczuczynskiego pochodził Konstanty Wesołowski — żołnierz 15 rewolucyjnej armii. W Szepietowie urodził się Franciszek Perkowski — znany pod pseudonimem „Kmicie” i „Wołodyjowski” aktywista SDKPiL. Zginął w 1937.

Wspomnieć również trzeba o Władysławie Weisie, Stanisławie Dybowskim, Czesławie Trzaska, Edwardzie Kraszewskim, Zygmuncie Jastrzębskim, Napoleonie Koliberskim, Leonie Kulikowskim, Stanisławie Łuczyńskim, Izidorze Sadowskim, Józefie Osowskim, Franciszku Szostaku, Józefie Remiszewskim. Wszyscy oni wraz z wieloma innymi, bezimiennymi bohaterami wystąpili przeciwko staremu porządkowi, nierzadko własną krwią płacili za prawo do lepszego życia, zapoczątkowali nową epokę w dziejach całego świata.

*) Włodzimierz Majakowski — fragmenty „Ody do rewolucji” według tłumaczenia Brunona Jasińskiego.
**) Fragmenty wspomnień — z pracy zbiorowej „Na granicy epok” — 1968 r.

TERESA POLECKA



Demonstracja w Kazaniu — 1917 r. — pod sztandarem Franciszek Jabezyński, jeden z Polaków, uczestników Rewolucji Październikowej w Kazaniu

dokumenty



Czasami, po robocie, rozmawiamy sobie w naszej wsi o polityce. Nie, żeby ostatnio więcej niż kiedykolwiek. Tyle, co zawsze. Jakies kilka zdań na temat aktualnych wydarzeń. Spokojnie, rzeczowo, bez patosu i wrogiej propagandy. Ot, powiedzieli coś w radio, napisali w gazecie.

— Z tym Szczepańskim, to chyba jakaś bujda? — Pytają. Nie chce się tym męczennikom, tym bezwolnym wyznawcom ciężkiej bezpardonowej harówki wierzyć w taki styl, w takie życie, w takie milionowe złodziejstwa i oszustwa. Podobnie rzecz się ma z Tyrańskim.

— To też jakaś sprawa nieczysta! Kto to słyszał, żeby w tak dobrze urządzonej wiosce, gdzie i milicji nie brakuje i sądów i ludzi uczciwych, można było kraść na prawo i na lewo i to przez 10 lat!

— Ciekawe ile dostaną za to? Będzie kara śmiertelna, czy nie?

— Głupi! Albo to ma znaczenie, ile ukradłeś? Czy to jest ujęte w paragrafach? Ty wziąłeś stówę, a on milion. I obaj dostajecie to samo.

— Ja tam bym się z takimi nie patyczkował! Wybudował w Warszawie odpowiednią szubienicę, w

stodoły, przynieśli w zębach, walczący o każdy pokos, o każdy soplek. O każdy kartofelek. Bo to, co nie zebrało się podczas wykopków, zbierano podczas bronowania, a potem orki. Rżyska zagrabiano kilkakrotnie. W każdym chlewiku, w każdej szopie, komórcie stały warchlaki i świnki. Knury i wieprzaki. Kabany. Krowiny i cielaczki. Orało się jednym konikiem, jedną pługiem. Kopało się motyką, kosiło kosą. Były wieczory przy lampie naftowej, obrządek przy latarkach i fanarach. Co poniedziałek i co środę z każdego podwórza wyjeżdżały najpierw wozy żelazniaki, potem gumaki, a dzisiaj traktory załadowane trzodą. Co rano taszczone do punktu skupu bańki z mlekiem. Ludzie przestali robić masło i sery. Przestali gotować zacierki na mleku. Nie piekli już chleba. Zajęci byli krzątaniem, bieganiami z pola na pole. A przecież istniały jeszcze kłopoty, które stwarzały im urzędy. Kłopoty z nabyciem narzędzi, z załatwieniem kupna cementu, wapna, cegieł.

Jak dzisiaj zrównoważyć te męki i mordęgę chłopską z beztroskim,

bezmieśne życie

tym miejscu gdzie papież odprowadzał mszę i powiesił łajdaka jednego z drugim na oczach milionów!

— W jaki sposób na oczach milionów?

— Poprzez transmisję telewizyjną. Wieszabym i pokazywał ludziom ku przestrodze.

— Głupstwa gadasz przyjacielu, każdy chce żyć. Tak jak każdy chce kraść. A co, może byś nie wziął więcej, gdybyś miał możliwości?

— Uczyl się na to, szkoły kończył wyższe, kursy, żeby kraść nie parę groszy, ale większe sumy. Prosty człowiek nie miałby odwagi brać aż tyle, bo niby po co? Starczyłoby mu to ileś tysięcy.

— Gdybyś ty był na miejscu Szczepańskiego wziąłbyś mniej?

— Po to mamy tylu inteligentów, żeby mieć te 20 miliardów długów!

— Nie zwalaj winy na uczonych!

— W innych krajach też analfabeci nie rządzą, a jakoś nie kradną! Młodzi jak młodzi — mogą sobie dowcipkować, dogadywać. Starsi natomiast sięgają smutno pamięcią w przeszłość i porównują, zestawiają obok siebie czasy przedwojenne i obecne. Dostrzegają wyraźne różnice i mówią o tym szczerze.

— Demokracja dała nam dużo. Poprawiło się życie.

Ale dalej są smutni, bo boli ich oszustwo, rani brak szacunku dla tego trudu, którego nie szcędzili przez wszystkie lata. Oni uczciwie ziarno do ziarna, a ktoś tam lekomyślnie miliony na wiatr!

Niechby im ktoś spróbował pokazać chociaż jeden zmarnowany dzień w ich życiu. Jedno nie obsiane pole, nie opielone buraki, nie skoszona koniczyna, nie wykopane ziemniaki. Łało, czy nie łało, zwieźli do

wielkopolskim wędrowaniem przez życie Tyrańskiego, czy Szczepańskiego? Ilu chłopów nie dosypiało po nocach, przez ile tygodni, miesięcy tworzyli w mozołe dobra, które sprzedawano za bezcen? I czy tylko ich wysiłek szedł na marne? Jeden podpis Tyrańskiego narażał państwo na straty tak ogromne, że setki i tysiące lat chłopskiego wysiłku nie mogłyby ich zrównoważyć. Ale czy tylko Tyrańskiego?

— Opanowało nas jakieś poczucie niższości — mówią chłopci. Wmówiono nam, że jesteśmy gorsi, że produkujemy buble i w takiej sytuacji każdy kontrakt jest ważny. Jak te panienki, co to w dużych miastach stoją pod hotelami gotowe pójść z pierwszym lepszym. Za trzy dolary nawet. Czyż na takich podstawach opiera się ten nasz handel?

— To co mamy robić?

— Nauczyć się znów dumy. Zacząć się cenić. Nie zadawać się z byle kim.

— Nawet gdybyśmy mieli chodzić boso?

— A co to przeszkadza. Lepsze to, niż buty kupione za pożyczone pieniądze. Honor i godność — to podstawa. Bez tego nie wykaraskamy się nigdy z biedy.

— A co chrzestny sądzi na ten temat?

— A niby o czym? — Pyta chłtrze.

— No, te afery, kradzieże. Pożyczki, zadłużenia. Brak mięsa.

Stary milczy dość długo podkładając suche sosnowe gałęzie pod kuchnię. I kiedy już mi się wydaje, że zapomniał o pytaniu, mówi niby to sam do siebie: — Bezmieśne życie, gdy świnię przy korycie.

TADEUSZ MOCARSKI

siła przyzwyczajenia

Ilekoć spotykam się z administracyjnym chamstwem... wychodzę, bo co niby mam robić. Dyskutować? Umiejętność konwersacji to jest chyba to, co zgubiłobyśmy spuszczać się po galeziach. A na ziemi, jak wiadomo, najpierw musieliśmy nauczyć się stać.

Wychodzę więc, delikatnie przymykając za sobą drzwi, bo najłatwiej zatrzaskać je raz na zawsze, a przecież nigdy nie wiadomo. Zbiegam po schodach, dłoń muska kłamkę, ulica owiewa jesiennym westchnieniem, kilka kałuż, pijana morda, sień, schody, kłamka i... A niech was cholera... Ale... Ciężko. Ściągnę też mają uszy. Podobno.

I dlatego wtedy zdziwiłem się. Ktoś zaprosił bez urazy — Wejść — Twarz w okno, wpatrzona. Melancholijnie — Proszę, niech pan siada — Potem bajka — Tak. Już. Tu. Nie. Tam. Może. Zniewalająco uśmiechnięte — Nie Wiadomo Gdzie — Było. Na pewno. I jest. Z pewnością. Poczekaj. Pojutrze. Jutro. No, dwieście złotych. Jak dla pana. Proszę przynieść. — I nie mam żalu w głębi serca, że pijany.

Przyszedłem następnego dnia. Było mi głupio. Bardzo głupio. Zapomniałem? Wytrzeźwiałem? Ja naprawdę chciałem dać, ale... Ale jak mi Bóg miły, nie rozgrzeszam swoich wad. Dwieście złotych. Prawda? — grosz. Żeby choć aluzynie. Żeby choć mrugnął — Wyjdź pan — A on po prostu zapomniał. I głupio mi, że nie mogę... powiedzieć... to powinno być właśnie tak, ale... Ale ja już się do tego przyzwyczaiłem.

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

czas na wiersze

Jak to się mówi — przyszedł czas rozrachunków. Za swoje i nie za swoje. Za niczyje. Bijemy się w piersi dookoła, aż Polska dudni jak długa i szeroka. — Demokracja, liberalizm, poprawa — Bijemy się publicznie, bez widocznych zahamowań. My się przyznajemy... na odcinku, ale poza tym swoje wiemy. Żeby uzdrowić chorego należy... To nie, że trzy miesiące temu śpiewaliśmy w innym chórze. Dzisiaj... Nie, nie mierzę tak wysoko... w zasadzie tylko my, maluczy, na maluczkich intratnych posadach. Nie wszyscy jeszcze dorobiliśmy się brzuchów. Sen mamy spokojny, tak jak mieliśmy, bez majaczeń i zakłóceńnych menstruacji. Budzimy się rano w czystej pościeli, szkarłatnej. Tak, już wyszkarłatnieliśmy, chociaż nikt nas jeszcze nie zdążył wybleić. Ubieramy się w te same kałesony, te same wciągamy spodnie

☆

może tylko rozluźniamy krawat, żeby móc odetchnąć głęboko, swobodnie. I coraz więcej wierszy — w rytm i rym się nam składa — My dobrze wiemy kto ma brudne ręce, ale nas — nikt nie przegada.

(alek)

ZIELE ANIELSKIE

LIMERYK

Zył pewien starzec na łodzi,
Któremu długi nos szkodził,
Lecz gdy ryby z sieci wygarniał
Nos świecił jak latarnia,
Która też była na łodzi.

TOMEK I ELA

Gdy Tomek Snooks i Ela Brooks
W niedzielę razem szli kawalek,
Rzekł Tomek Snooks do Eli Brooks:
„Jutro już... poniedziałek!”

LIMERYKI

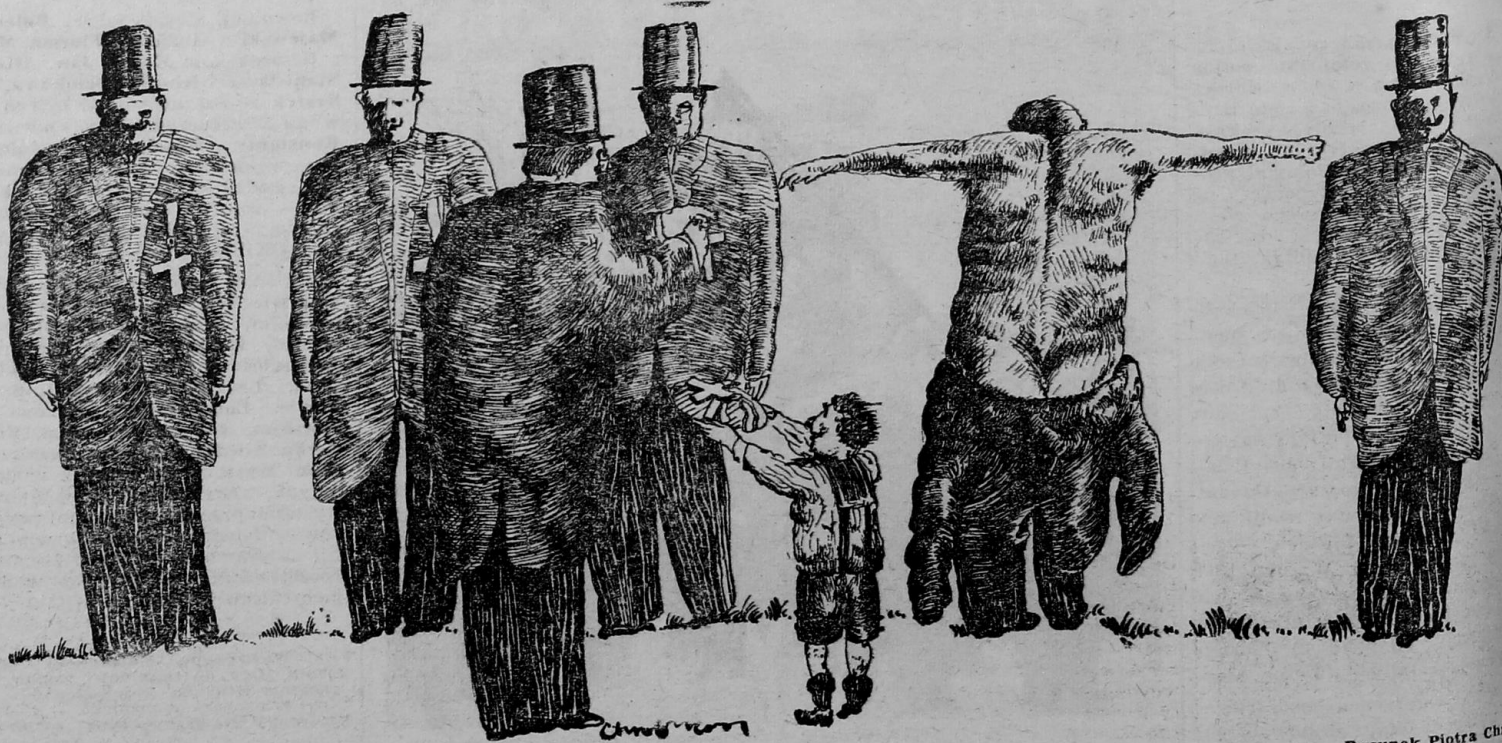
Uśmiechnięta dama w Tbilisi

Ujeżdżała krwiożercze tygrysy.
Aż kiedyś straciła łut szczęścia:
Wróciła w brzuchu zwierzęcia
A tygrys miał... uśmiech na pysku.

Na Krecie żyła dama
Tak schludna i tak zadbana,
Że zawsze stawała na głowie,
By nóg nie pobrudzić sobie,
Gdy z łóżka wstawała rano.

Przełożył: Andrzej Tchórzewski

refleksje



Rysunek Piotra Chroboka



zmagania z... warunkami

Pod względem warunków treningowych, od czasów kiedy sekcję ciężarów prowadził Stanisław Bojarowski, zmieniło się niewiele. Ale wtedy, być może takie warunki wystarczały; ciężarowcy swoje treningi traktowali po amatorsku i bardziej chodziło im chyba o kulturystykę niż o wyczyn. Cieszyli się, że posiadają sprzęt i miejsce gdzie mogą dźwigać ciężary. Jeśli było zimno, to najwyżej na placu boju z ciężarami pozostawali więksi zapaleńcy a reszta „pauzowała”.

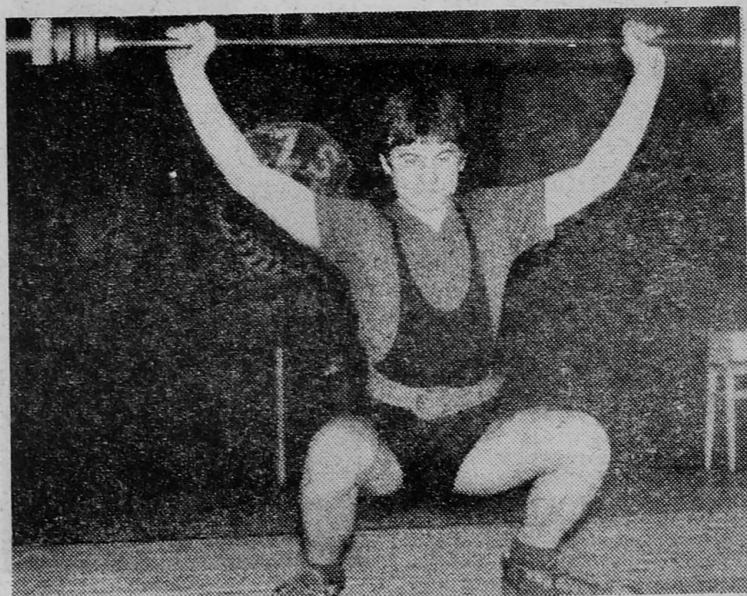
Z chwilą przybycia do Łomży Henryka Haponika, trenera drugiej klasy podnoszenia ciężarów, zabawa się skończyła. Ciężary jako sekcję WLKS „Narew” w Łomży zaczęto traktować poważniej. Mówiąc „poważniej” mam na myśli rangę ciężarów jako dyscypliny sportowej, a nie stosunek działaczy do tej dyscypliny.

Przed sobą mam trzy podania ciężarowców. Nazwisk nie wymienię (przepraszam za to byłych zawodników WLKS „Narew”) ale w tym przypadku nie one są najważniejsze. Ważna jest wymowa faktów. Otóż podania te zawierają rezygnację z uprawiania sportu, których powodem są, ogólnie mówiąc, złe warunki treningowe. Co się kryje za tymi słowami? Może byli zawodnicy przesadzają, (ostatnio często jest już trudno zgadnąć o co sportowcom chodzi), może sauna nieczynna? Może masażysta rzucił pracę? Nic z tych rzeczy! Takie luksusy to mogą im się tylko śnić. Po prostu po treningach chcieliby mieć się gdzie umyć, mieć kawałek szatni no i WC, żeby nie biegać za plot. A w zimę — trochę cieplej. Co prawda w sali są piece, ale pomimo remontu, zatrują ją powietrze jak Nowa Huta atmosferę

ryjnego w Łomży, który na tegorocznej, VII Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży zdobył złoty medal, powtarzając sukces ze spartakiady poprzedniej, a we wrześniu br. zajął IV miejsce na mistrzostwach Polski, przegrywając srebrny medal tylko wagą ciała. Jest to wynik ciężkiej pracy. Jak powiedział jego trener, trudno o bardziej sumiennego zawodnika; Bojarowski od trzech lat nie opuścił jednego treningu!

— Sprzętu mamy dosyć — mówi Henryk Haponik — no, może przydałyby się dresy pól elastyczne, nieodzwonne dla ciężarowców, ale nigdzie nie można ich dostać. Natomiast warunki treningów — bardzo ciężkie. Z powodu ciasnoty nie można w pełni wykorzystać „atlasu”, jednorazowo mogłoby trenować na nim siedmiu zawodników a trenuje trzech. Często jest tak, że my ćwiczymy w jednym kacie sali, a uczniowie w drugim. Mamy szczęście, że nauczyciele Zespołu Szkół Drzewnych, panowie Godlewski i Orłowski rozumieją nasze kłopoty. Jednak z powodu warunków chłopcy się wykruszają. We wrześniu 1977 r. miałem pięćdziesięciu zawodników, do dzisiaj zostało tylko trzech.

Występujemy w trzeciej lidze. Jeśli będziemy awansowali byłaby to katastrofa dla naszych władz. Obecna grupa (dwudziestu chłopów) treningi odbywa na raty — część rano a część po południu. Większość to uczniowie ze szkoły, w której uczę. Gdybym w szkole, na SKS-ie nie prowadził ciężarów, to prawdopodobnie nie miałbym kogo trenować. Problem może rozwiązać jedynie szybkie zakończenie budowy hali. Rozpoczęto ją przed trzema laty, właśnie wtedy, kiedy przyszedł



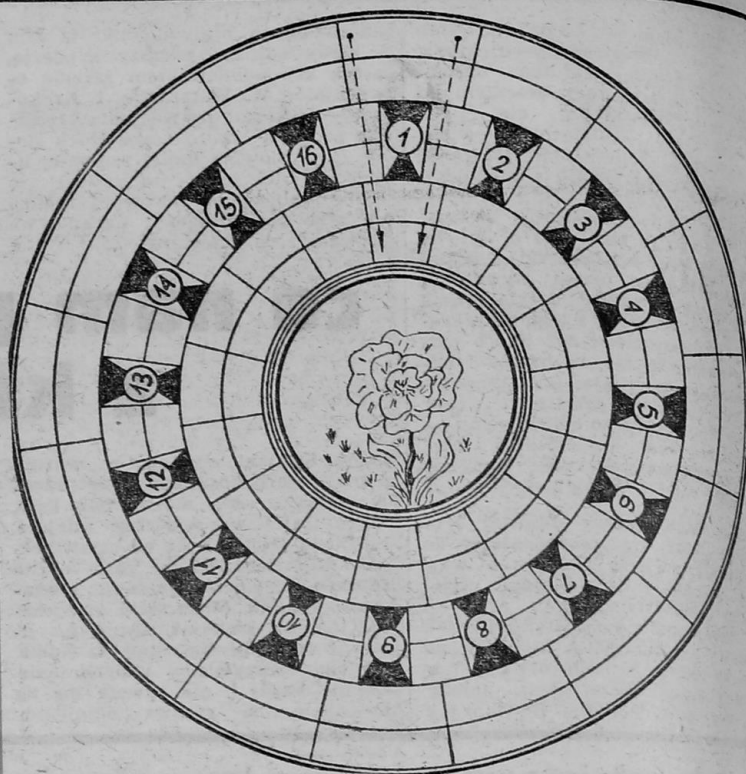
nad Krakowem. Bywało więc, że w zimie chłopcy często trenowali w czapkach i rękawiczkach! Ktoś może powiedzieć, że jednak nie jest tak źle, bo przecież część została i trenuje nadal. A ci co odeszli? No, trudno, widać nie wytrzymali trudów. Zresztą tak już jest, że jedni odchodzą a drudzy przychodzą. Jednak ci trzej prawdopodobnie nie odeszliby. Czy jednak można od kogoś wymagać, aby narażał swoje zdrowie i z własnej nieprzymuszonej woli chciał zostać kaleką? Odeszli więc, bo z powodu zimna odnawiali im się ciągle kontuzje stawów i grzbietów. A co znaczą właściwe warunki niecałkowicie fakt, że na zgrupowaniach — jak powiedział Marek Szakała, asystent trenera — zawodnicy po dwóch tygodniach osiągalni wyniki, jakie trenując w Łomży mieli po roku! Wierzyć się nie chce. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze niepewność, czy nawet i tej sali nie będą musieli opuścić. Jest ona bowiem własnością Zespołu Szkół Drzewnych, i jeśli udośćnił się szkole ciężarowcom to robiono to kosztem uczniów. Ponadto, skoro ciężarowcy korzystają z sali, WLKS „Narew” powinien partycipować w kosztach remontu. Ale skąd mają wziąć pieniądze skoro patron sekcji PGR „Wizna” w Grądach Wonięko ostatnio nie bardzo może wywiązać się z przyjętych na siebie zobowiązań.

W tym świetle innego wymiaru nabiera sukces Arkadiusza Bojarowskiego, ucznia technikum Weteryna-

Właśnie. Budowę pawilonu, który wszyscy nazywają halą sportową rozpoczęto w roku 1977. Tempo prac „imponujące” — do chwili obecnej wykonano fundamenty i zmontowano na nich ściany i dach. Marek Szakała, który przybył do nas z Elku, mówi że taki zakres robót, tego samego typu pawilonu, wykonano tam w dwa tygodnie! Obecnie trwa „doprowadzenie” do hali ciepła. Opieszalności robót wcale nie usprawiedliwia fakt, że budowa prowadzona jest sposobem gospodarczym. Trzy lata to akurat o dwa za dużo!

I na koniec pytanie. Kto ponosi winę za opieszale wykonywanie robót? Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Łomży wskazuje palcem Wojewódzkie Zrzeszenie Ludowych Zespołów Sportowych, które jest inwestorem. WZLZS zastania się natomiast brakiem „budowlanicy” i mówi, że WKFiT odbił tylko piłeczkę. Faktem jest, że zawodnicy WLKS „Narew”, ciężarowcy i zapaśnicy, którym bardziej zależy na szybkim zakończeniu budowy niż zwierzchności (a może im po prostu za zwierzchności wstyd?) wielokrotnie deklarowali chęć wykonywania niefachowych robót w czynnie społecznym. Kilkakrotnie ustalano terminy, zrywano treningi by na placu budowy okazało się, że nie zabezpieczono tzw. frontu robót. Pomimo wcześniejszych ustaleń z WZLZS. Po prostu wstyd!

WYMIATAĆ



czepka kołowa

Znaczenie wyrazów: 1) w sędzie lub zeszyt — lepiej jej nie przeciągać; 2) z plekła rodem — metropolia południowoamerykańska; 3) dla bogaczy jak dla bogaczy, ale rolnikom potrzebna — do objęcia; 4) rekojęść — gremialne roztrząsanie problemów; 5) blizna — podwórkowa przyjaźń; 6) samuraj nia wywija — krzew o czerwonych owocach; 7) bocznica powierzchnia tarczy — przed atakiem; 8) pieniąd na głowie — rodzaj mięsa; 9) na obczyźnie — w zamku obronnym; 10) zecer w niej spera — dawny powóz; 11) z rodziny węgorskiej — rodzaj przedzdy; 12) „kieszeń” — dziedzina; 13) lubelska muza — lokum operatora; 14) oko z niej wychodzi — na trasie Olsztyn—Braniewo; 15) dziesięciolotówka — malarz jej używa; 16) na dukaty — marcew. Sposób wpisywania wyrazów pokazany na diagramie. „EL-TA” (EL-TA) Rozwiązanie prosimy nadsyłać na adres: 18-400 Łomża, ul. Sadowa 18, w terminie do dnia 18 listopada br. Fot. Włodzimierz Ciestowski



działa od 1929r

OPROCENTOWANY
RACHUNEK
BANKOWY
NAJLEPSZĄ LOKATĄ
DEWIZOWYCH
OSZCZĘDNOŚCI

Bank Polska Kasa Opieki SA
otwiera i prowadzi w walutach
wymienialnych
rachunki bankowe „A”

Odsetki od wkładów na rachunkach „A” wynoszą:

4—7 proc. rocznie

w zależności od terminu lokaty.

Rachunki „A” prowadzone są w walucie wpłaty lub w innej walucie wymiennej wybranej przez klienta.

Posiadacze dysponują wkładami w kraju i za granicą.

Zwrot wkładu następuje w dowolnym terminie na każde życzenie.

Rachunki „A” są objęte ustawową tajemnicą bankową.

Szczegółowych informacji o warunkach otwierania i prowadzenia rachunków „A” udzielają:

ODDZIAŁ BANKU PKO SA
w BIAŁYMSTOKU, ul. Sienkiewicza 40
w godz. 8.00—18.00
w soboty
w godz. 8.00—14.30

o r a z:

AGENCJA BANKU PKO SA
w SUWAŁKACH, ul. Waryńskiego 1

AGENCJA BANKU PKO SA
w ELKU, ul. Armii Czerwonej 35/2

AGENCJA BANKU PKO SA
w ŁOMŻY, ul. Giełczyńska 11

codziennie w godzinach
10.00—16.00
w poniedziałki
8.00—14.00

ŁK 4409-

KONTAKTY

6.11.

PROGRAM I

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R

AM. TTR, R



- 12.25. Kłisza Zdrowego Człowieka.
- 16.15. Język angielski, lekcja 6.
- 15.45. Język niemiecki, lekcja 6.
- 17.15. Program morski.
- 17.55. „Dom moich synów” — film oby-
czajowy TVP.
- 19.30. Dziennik Telewizyjny.
- 20.10. Ekran reporterów.
- 20.40. Antyczny świat profesora Kraw-
czuka.
- 21.10. 24 Godziny.
- 21.20. Pegaz młodych.
- 21.50. Wieczne rozmowy w kręgu ro-
dziny.
- 22.20. Program muzyczny.
- 22.40. Język angielski, lekcja 6.

W nazio

cja Październikowa" — wystawa plakatów, czynna do 15.XI.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna — koncert w Goniądzu (sala Gminnego Ośrodka Kultury), 6. XI, godz. 14.30 i 17.00; koncert w Łomży (sala Państwowej Szkoły Muzycznej), 7 XI, godz. 14.00 i 19.00.

Dyrygent Henryk Szwedo. Solista: Feliks Galecki — śpiew. W programie — Piotr Czajkowski: walc z baletu „Śpiąca królewna”, aria Oniegina z opery „Eugeniusz Oniegin” oraz pieśni „Zaśmiły ty” i „Wśród balowego rozgwaru”; Aram Chaczaturian: walc, nokturn, mazurek i galop z „Maskarady” oraz hopak z baletu „Gajane”; Siergiej Prokofjew: suita na orkiestrę „Jedni dzień”.

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Głęb-
czyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna
Pogotowie. Chirurgiczne, ul. M. Skło-
dowskiej-Curie 1, czynne całą dobę.

W razie potrzeby

OGŁOSZENIA DROBNE

Lg 6842-1

28 3032-1

Lk 4433-0

Ep 2226-0

KARTA UCZESTNICTWA W TURNIEJU TENISA STOŁOWEGO

Nazwisko i imię

Zbiorcza Szkoła Gminna

Adres uczestnika

Data i miejsce urodzenia

Potwierdzenie zgłoszenia przez opiekuna SKS

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR, REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefanía Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Marek Rośński — sekretarz redakcji, Lech Danuś Sobolewski, Aleksander Wrzeszewski, Stanisław Zieliński Fotoreporter — Gabor Lorinczy, Redaktor graficzny — Iwona Sielska, Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel, Elżbieta Ślupska, **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Bartosz, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka, Jerzy Brodziuk, Wiesław Janicki, Marek Jaworski, Henryk Kłm, Klemens Krzyżagórski, Marek Kusiśba, Franciszek Piąkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski, Mieczysław Wodziecki, **KONCEPCJA GRAFICZNA:** Marek Goebel, **ADRES REDAKCJI:** ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, Tel. 34-95, 40-22, telex — 853249, **WYDAWCA:** RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Kombinat Wydawniczo-Kolportazowy w Białymostku, Druk: Białostockie Zakłady Graficzne, zam. i druk w Łomży, **PL ISSN — Nr. indeksu** 36328, Ogłoszenia przyjmuję: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Sadowa 10, tel. 34-95 i 40-22 oraz wszystkie ogłoszenia RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

W miarę uważny czytelnik, śledzący diabelskie sprawy czterech naszych bohaterów, ob. ob. Supraskiego, Buzańskiego, Biebrzańskiego i Narwiańskiego, zechce łaskawie przypomnieć sobie, iż znaleźli się oni ostatnio w nader niekorzystnej sytuacji ogólnej i szczegółowej. Miotani niepewnością moralną i zawodową, działali nerwowo, a co się z tym wiąże, popełniali, niestety, błędy, pomyłki i wypaczenia. Mimo wszystko, dalej siedzą na pulwach pod Łomżą, kłócąc się jak wszyscy diabli.

BUZAŃSKI: Oj, niedobrze, kulięgo Supraski!

SUPRAŃSKI: A niby komu źle się zrobiło?

BUZAŃSKI: Wam, dziadu piekielnym! Dzwoniliście ostatnio do Śniadowa po fakturę na domek, czy tak?

SUPRAŃSKI: Ki diabeł, kto wam o tym powiedział?

BUZAŃSKI: Rogi otóż mają uszy. Na waszym miejscu to ja bym już raczej dzwonił zębami. Zresztą nie tylko na waszym.

BIEBRZAŃSKI: Ja tam jestem czysty, do moich szponów nie nie przylgnęło.

NARWIAŃSKI: Do moich także. No, najwyżej jakieś drobne gie.

BUZAŃSKI: Do was ja nie nie mam, niedźna z was była płotka, można powiedzieć, że kiełbik albo kolucha.

NARWIAŃSKI: Co takiego? A kto ostatnio w Małym Płocku zadziałał? Za moją sprawą strażacy gaszą tam zapal młodych do tańca. Oplaty mianowicie pobierają szczególnie wygó-

rowanie tytułem wypożyczenia remizowej sali!

BUZAŃSKI: No i głupi jesteście, kolego! Na waszym miejscu kazałbym co wieczór robić zabawy. Gdzie zabawa, tam popijawa, często nawet bywa krwawa.

BIEBRZAŃSKI: Ot i poeta! Na Drozdowie powinniście siedzieć, łomżyńskiej literaturze chałę przynosić, to znaczy, chciałem powiedzieć — chwaleę oczywiście.

NARWIAŃSKI: A weźcie wy mnie pocałujcie w czterowersz. W Drozdowie czasem siedzę, ale ważniejsze mam tam sprawy. Pomagam jednemu kupować piwo kurpiowskie, diabła zresztą warte, przelewamy do butelek z lalczkami, które także na psy ostatnio zeszło, i w ten sposób interes kwitnie, a nasz dobrobyt wzrasta, bo z lalczkami droższe, choć powinno być tańsze.

SUPRAŃSKI: Kuliedzy! Coś mnie się wydaje, że wy ostatnio gadacie jakby trochu od rzeczy. Słucham was i słucham, nu pojąć ni w zomp nie mogę.

NARWIAŃSKI: I o to właśnie chodzi. Bo trzeba mówić jasno, prosto, otwarcie, do końca, rzetelnie, moralnie, pryncypialnie, z całą świadomością, prawdziwie, właściwie, odważnie, konsekwentnie, zasadniczo, i we właściwym kierunku, żeby każdy wiedział, że trzeba dążyć do tego, żeby zdążyć do tego owego.

SUPRAŃSKI: Aha! Musi co ja i zrozumiał. Tego śmego, co?

BIEBRZAŃSKI: Oto święte słowa demagogii pedagogicznej albo pedagogii demagogicznej. Studiowałem wieczorowo kiedyś coś takiego. A później jeszcze zaocznie i nie oświście. Tak czy inaczej z mojej dotychczasowej praktycznej wiedzy wynika, że potrzebne są nam ostatnio nowe twarze. Proponuję zbiorową operację plastyczną.

Zapada milczenie. Diabły wyciągają lusterka. Robią różne dziwne miny, ale nikt jeszcze nie wie, co to oznacza.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

WYWARY WSPÓŁCZESNE

Niejaką furorę na łamach prasy centralnej robi pismo Wojewódzkiego Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług w Łomży, w którym to piśmie Zrzeszenie domaga się od prasy, aby przed drukiem krytycznych notatek na temat Zrzeszenia rzecz uzgadniać ze Zrzeszeniem.

„Fundamenty” w odpowiedzi na list Eugeniusza Kłosińskiego z Łomży, który pyta, czy w diecie służbowej delegacji w wysokości 40 zł na dobę uwzględnia się opłatę za szaleć publicznie — piszą, że nie, z wyjątkiem przypadku, gdy w rachubę wchodzi kalestwo delegowanego.

Wojewoda łomżyński poinformował „Przycięciółkę”, że województwo jest rajem dla sierot. „Przycięciółka” publikuje pogląd nie bez rezerwy.

Emerytowany strażak Józef Zygmunt, zastępca przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania — Czesław Kołodziejczyk i „Trybuna Ludu” nie ukrywają zdziwienia, że w Łomży, równocześnie dla Urzędu i Komitetu Wojewódzkiego, buduje się dwie oddzielne sale konferencyjne i ani jednego wspólnego przedszkola.

MOWA RĄK

Ręce bywają równie wymowne, jak oczy, a przy tym nie kłamią, a jeśli nawet — to z trudem. Ręce mówią o człowieku niekoniecznie drząc i pocąc się; nie tylko przez gesty i odciski. Dłonie przemawiają budową, kształtem palców i rysunkiem linii, niezależnie od tego, czy są to dłonie boksera, operowej śpiewaczki lub kolekcjonera motyli.

Chiromancja — umiejętność odczytywania losu zapisanego w dłoni — jest sztuką starą, uprawianą od dawna przez Cyganki w okolicy autobusowego dworca i przez utytułowanych mistrzów szczebla uniwersyteckiego. Profesor Józef Ranałd z Wiednia uważa, że chiromancja jako nauka jest w powijkach, ale niebawem będzie to klucz do rozszyfrowania większości praw rządzących człowiekiem.

Żeby nie pozostać w tyle, pokusiłmy się o kilka — ogólnych, rzecz

jasna — wykładów z chiromancji. Zaczniemy od kształtu rąk. Fachowcy wyróżniają sześć podstawowych typów rąk. Są to ręce elementarne, stożkowe, kwadratowe, łopatkowate, węzlaste i smukłe.

Posiadacz ręki elementarnej nie ma specjalnych powodów do dumy, więc nie trzeba się dziwić, jeśli nadużywa rękawiczek. Dłoń taka jest ciężka i niezgrabna, o krótkich palcach, grubej skórze i twardych paznokciach. Ludzie z ręką elementarną nie dysponują wybujałą wyobraźnią, ani specjalną wrażliwością — ich kontakty z otoczeniem ograniczają się do spraw prostych, raczej przyziemnych. „Elementarni” bywają na ogół łagodnego usposobienia, ale dotknięci pasją np. zazdrością, lub w innym, równie prymitywnym unięsieniu — mogą być groźni dla otoczenia.

Ręka stożkowa — szeroka u dołu, zbiegająca się ku górze — charakteryzuje człowieka skłonnego raczej do zadumy niż działania.



„Lucyfer” Franza von Stucka z 1890 roku, czyli zło nie jako głupi diabeł, lecz demon pełen skupionej siły i wielkości.

Fot. Włodzisław Ciesławski

PRZED WSZYSTKIM POWINIŃMY SKOORDYNOWAĆ NA BIEŻĄCO RAMOWY PROGRAM AUTOKRYTYCZNEJ OCENY DZIAŁANIA NASZEGO DZIAŁANIA. PO TO, ABY PODDAĆ GO ANALIZIE I SZCZEGÓŁOWEJ KONCEPCJI MODELI WARIANTOWYCH, A WRESZCIE W ODPOWIEDNIM CZASIE PRZEJŚĆ DO WNIOSEK I MODELI ROBOCZYCH...



Właściciel ręki stożkowej posiada bogate życie wewnętrzne, skłonności do oratorstwa i mnóstwo pomysłów, które giną zwykle w „stomianym ogniu”. Człowiek z taką ręką bywa szlachetny, ale z umiarem, jest trochę sprytny i bardzo leniwy.

Spokój, uczciwość, zaradność, umysł raczej naukowy, ścisły, mało czuły na sztukę i nienawidzący wszystkiego, co tajemnicze, cechuje posiadacza ręki kwadratowej (rys. 1). Ludzie, których palce osadzone są na tym samym poziomie, bywają jednostkami konsekwentnymi i twórczymi, ale zdarzają się też „kwadratowi” dogmatycy.

Ręka łopatkowata (rys. 2) obiecuje życie aktywne i ciekawe. Towarzyszą temu życiu: odwaga, energia, indywidualizm i wierność w przyjaźni, ale także pewna nerwowość. Ręce takie, o szerokich i spłaszczonych palcach, zwykły należeć do wielkich uczonych, sławnych podróżników, bohaterskich żołnierzy i wynalazców.

Natomiast ludzie, którym nieobce jest filozofowanie i zdolności do matematyki, mają na ogół ręce węzlaste (rys. 3), zwane też filozoficznymi. Ludzie tacy często żyją według własnych praw, obojętni na głosy opinii, nierzadko wbrew opinii przyjętej w świecie. Bywa jednak, że ci „wolni myśliciele” są zagorzałymi i skutecznymi obrońcami wolności i praw człowieka.

Dłoń smukła (rys. 4), czyli intelektualna, o białej delikatnej skórze, odznacza się długością, cienkością, owalnie zakończonymi palcami. Jest to ręka ludzi uczciwych i hawrowiejących aż do naiwności, ale wyposażonych w nieprzeciętną intuicję. Jest to dłoń poetów i pianistów.

Tyle na ten temat podział klasyczny, ale w praktyce ma się zwykle do czynienia z rękami mieszanymi. Wówczas odczytuje się poszczególne cechy dłoni w zależności od ich nasilenia — określa charakter nosiciela.



POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samolistny

POKUSY